



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł — 8 stron

Warszawa, 9 stycznia 1955 r.

Nr 2 (250) Rok VI

Francja nie padnie na kolana

S ledziłmy tę debatę z zapartym tchem. Los Francji obchodzi nas blisko, bezpośrednio, serdecznie. Wstrząsnął nami — widoczny w tych dniach gotym okiem — dramat Francji. Dramat wielkiego, szlachetnego, związanego z nami niezniszczalną przyjaźnią narodu francuskiego, który władcy „wolnego świata” usiłują ogłosić z wolności stanowienia o sprawie dlań najważniejszej. I próbują przytroczyć do łabędzi łabędzi, bońskiej Rzeszy, którą nie kto inny jak rząd Adenauera urządowo uznaje „za identyczną z Rzeszą Niemiec” w granicach z dn. 31 grudnia 1937 roku”. (Z uzasadnienia przedstawił Bundestagowi ustawy ratyfikacyjnej układów paryskich w sprawie Saary.)

Debatę we francuskim Zgromadzeniu Narodowym nad układami paryskimi, których celem jest właśnie wyposażenie IV pohitlerowskiej Rzeszy w Wehrmacht — rozpoczęła się 20 grudnia 1954 r. Dokładnie w 10 rocznicę rozpoczęcia przez von Rundstedta ofensywy, która wstrząsnęła frontem amerykańsko-angielsko-francuskim, ponownie zagrożiła Paryżowi, Brukseli, Antwerpii, i miałyby skutki nieobliczalne dla Europy Zachodniej, gdyby Związek Radziecki nie przyspieszył potężnej, styczniowej ofensywy, wolność niosącej Polsce, Francji — Europie całej.

W grudniu 1944 roku Churchill w błagalnej depeszy prosił Stalina, by Armia Radziecka przyspieszając natarcie ratowała Europę Zachodnią — oraz armie JKM i armie amerykańską — przed Wehrmachtem. W grudniu 1954 roku Eden, w ścisłym porozumieniu z Dullesem, oficjalnie zagroził sojusznikowi Francji, że jakakolwiek byłaby uchwała jej parlamentu — Wehrmacht będzie odbudowywany.

Dlaczego patentowani „obrońcy wolności”, „godności” i tuzina innych ideów atlantyckich posunęli się aż do tak bezwstydnego szantażu, urągającego przyjętym dotychczas „wolnym światem” normom przyzwoitości? Stało się tak dlatego, że w nocy z 23 na 24 grudnia Zgromadzenie Narodowe — najbardziej pracowite (wskutek reakcyjnej ordynacji wyborczej) parlament francuski od czasu zakończenia wojny — o d r z u c i ł artykuł pierwszy układów paryskich dotyczący remilitaryzacji Niemiec. Tego wyniku głosowania nie spowodowały i nie tłumaczyły takie czy inne rozgrywki parlamentarne. To wola olbrzymiej większości narodu francuskiego uderzyła się do Palais Bourbon.

I wówczas właśnie ujrzelśmy „wolność zachodnią” w pełnej krasie. Puszczone zostały w ruch bezprzykładny w swym cynizmie mechanizm szantażu, obcych nacisków — i rodzinnej zdrady. Posługując się tym mechanizmem, Mendès-France zdołał, po ciężkiej walce i zastosowaniu proceduralnych kruczków, wydusić — z najbardziej prawnicowego w powojennej Francji parlamentu — 287 głosów za ratyfikacją, na ogólną liczbę 627 deputowanych.

Ta mniejszość parlamentu ośmieliła się głosować wbrew woli olbrzymiej większości narodu francuskiego. Aż 27 głosów „przewagi” — przeciw ratyfikacji głosowało 260 deputowanych, reszta powstrzymała się od głosu — aż 27 głosów „przewagi” zdołał wycisnąć Mendès-France, który w chwili rozpoczęcia debaty słusznie ostrzegł, że ratyfikacja przeprowadzona słabą większością będzie się równała odrzuceniu ratyfikacji.

Ani jedno stronnictwo burżuazyjne, ani jeden mówca zabierający głos w debacie, ani sam premier — nikt nie ośmielił się przeczyć, że remilitaryzacja Niemiec Zachodnich stanowi groźbę dla Francji i pokoju. Nawet przywódca francuskiej socjaldemokracji, który najgorliwiej gardłował za „koniecznością” podarowania nowego Wehrmachtu Kruppowi i Kesselringowi — przed czym przestrzegają zachodnio-niemieccy socjaldemokraci — nawet pan Guy Mollet uważał za bezpieczne dla siebie odegrać komedię „wewnętrznej rozterki”...

Jedna tylko partia od początku do końca konsekwentnie broniła i broni interesów narodowych Francji, jedna tylko partia głosiła jednolicie p r z e c i i w zgubnym dla Francji i pokoju układzie zdrady narodowej — Francuska Partia Komunistyczna.

Wśród 287 panów, którzy w oczach narodu francuskiego zdradzili Francję i pokój, pełno jest apostołów „prawdziwej, zachodniej demokracji”, łaskawie pouczających np. Polskę o wyższości burżuazyjnego ustroju. Lecz fakty, które z siłą oczywistości wybuchły w grudniu 1954 roku, wykazują dobitnie że Polska — właśnie dlatego że wsparta o przyjaźń mocarstwa socjalistycznego — prowadzi politykę głęboko zgodną ze swymi interesami narodowymi, z własną racją stanu. Podczas gdy Francję władcy „wolnego świata”, zaciskając potęgę „sojuszu” atlantyckiego, usiłują rzucić na kolana przed jej śmiertelnym wrogiem — militarystem niemieckim.

Ale tylko Dullesowie mogą się łudzić, że prawa szantażu i oszustwa są silniejsze od praw historii, od świadomości i woli wielkiego narodu. Sprawa nie jest bynajmniej skończona. Nie tylko dlatego że Rada Republiki musi jeszcze zatwierdzić uchwałę 287, którzy zdradzili Francję i pokój. Sprawa nie jest skończona przede wszystkim dlatego, że nie wypowiedział ostatniego, rozstrzygającego słowa naród francuski. Wszystkie złowrogię — dla ich autorów — skutki ratyfikowania układów paryskich przez mniejszość Zgromadzenia Narodowego będą we Francji działać z nieuchronnością bomby zegarowej. Walka narodu francuskiego o ocalenie Francji trwa. My, Polacy, śledzimy tę walkę z najwyższą, braterską przyjaźnią — i ufnością. Dramat Francji skończy się klęską wrogów jej wielkości, którzy są zarazem wrogami pokoju.

Bolesław Wójcicki

Na II Zjeździe Pisarzy Radzieckich

Sprawy krytyki

Z referatu Borysa Riurikowa

I. BOJOWY ODCINEK FRONTU IDEOLOGICZNEGO. Problemy krytyki oraz badań literackich znalazły po raz pierwszy osobne i specjalne miejsce w toku obrad Zjazdu Pisarzy Radzieckich. Jak wiadomo, na Pierwszym Zjeździe Pisarzy w roku 1934 sprawy krytyki omawiano „przejęciowo”, mimochodem i o tyle tylko, o ile wiązały się, najogólniej rzecz biorąc, z kłopotami twórczymi poszczególnych pisarzy. Prawie żadna jednak z ówczesnych wypowiedzi zjazdowych nie dotyczyła krytyki w sposób wyczerpująco szczegółowy, nie poddawała analizie i ocenie aktualnego jej stanu, nie konfrontowała sądów, koncepcji i kryteriów, nie wymieniała zakresu jej uprawnień, nie stwierdzała osiągnięć ani też wykazywała opieszałości oraz zaniedbań ideowych. Referat Riurikowa przypomina, że już samo postawienie ich na obecnym Zjeździe świadczy o wadze jaką się dziś przywiązuje do powinności krytyki wobec aktualnych potrzeb walki ideologicznej. Zresztą znaczenie krytyki wzrosło ostatnio poważnie nie tylko w dziedzinie literatury.

W tej części referatu Riurikow ukazuje jaka jest funkcja polityczna radzieckiej krytyki literackiej. Jest ona bardzo wieloraka. Nie wyczerpuje się w każdym razie tylko na kwestii związanej z ideowym wychowaniem pisarza oraz czytel-

nika, nie kończy się na służeniu rozwojowi życia literackiego i na postępie myśli estetycznej — teoretycznej. W zasięgu jej oddziaływania są dziś literatury krajów demokracji ludowej, które znajdują w niej pomoc teoretyczną i praktyczną, w przewyższaniu naleciałości różnych obcych realizmów socjalistycznemu doktryn i melod twórczych. Jednym z ważniejszych jej zadań na dzisiaj jest również walka z aktywizującym się w dziedzinie myśli estetycznej dekadentyzmem i obskurantyzmem nauki burżuazyjnej. Radziecka krytyka literacka walczy z tymi zjawiskami, demaskuje ich sens polityczny i bezsens twórczy.

„Współczesna estetyka burżuazyjna — mówi Riurikow — jest w przeważającej mierze estetyką ludzi, którzy boją się rzeczywistości obiektywnej, odwracają się od życia, czyniąc przy tym wrażenie jakoby rzeczywistość ta nie była dostatecznie ich godna. W literaturze i w sztuce znajduje wyraz rozpad i cynizm społecznych, charakterystyczny dla społeczeństwa burżuazyjnego, uczucie zagubienia i niepewności wobec dnia jutrzejszego.”

I dalej: „Powieści oraz sztuki przesłanki pesymizmu, antyspołecznych nastrojów, książki z zakresu estetyki, których autorzy bronią idealistycznych, subiektywistycznych

przekonań, są ogólnie znane i można by się nad nimi nawet nie zatrzymywać. Ale byłoby uproszczeniem sprowadzanie, jak to się czyni niekiedy u nas, współczesnej burżuazyjnej myśli estetycznej do głoszenia hasła abstrakcyjnej „czystej” sztuki.”

W ostatnim zdaniu zawiera się myśl niezmiernie ważna dla tej części referatu. Riurikow popiera ją kilkoma przytoczonymi przykładami owej „współczesnej myśli estetycznej”. Okazuje się, że np. od lat kilku istnieje dosyć żywy ruch tzw. uzdrowienia literatury amerykańskiej. Postulaty tej uzdrowieńczej estetyki wydawać się mogą niektórym pozornie bliskie nawet realizmowi socjalistycznemu. Krytycy tacy jak Brooks czy też Harrison Smith żądają, by literatura amerykańska zerwała z naturalistycznym kosmosem, by przedstawiała moralne zdrowie amerykańskiego życia, by tworzyła postaci pozytywne bohaterów jako wzory podawane do naśladowania, by wreszcie ukazywała jasną perspektywę świata amerykańskiego i jego pogodną optymistyczną przyszłość. W ten sposób pragną oni „estetyczni trubadurów wieku atomowego” — jak ich nazywa Riurikow — na zasadzie oczywistych kłamstw skonstruować pozytywny program estetyki realizmu imperialistycznego. Te komediantko-estetyczne usiłowania są jednym z dowodów faszysacji kultury amerykańskiego imperializmu. Nie więc dziwnego, że — jak dalej stwierdza Riurikow — „dzisiaj w Ameryce dokonuje się w rzeczywistości proces podobny temu, który się dokonywał w Niemczech w latach panowania hitlerowców. Wiadomo, że faszysty niemieccy próbowali również stworzyć postać swojego „bohatera pozytywnego” zdobywcę i pogromcę, poetyzował idea wojny, zaborów cudzych ziem, gwałty. Wiadomo także, iż wszystkie te usiłowania doprowadziły tylko do powstania dziesiątków obrzydliwych i kłamliwych powieści oraz filmów, które nie miały nic wspólnego ze sztuką, bo sztuka nie da się pogodzić z nienawiścią do człowieka.”

„Humanistyczna misja postępowej estetyki i krytyki jest wielka i zaszczytna. Walczymy o człowieka, o jego szczęście, o jego czystość i bogactwo duchowe, a przeciw kanibalizmowi i demoralizacji, przeciw rozkładowi osobowości człowieka. Walczymy o kulturę, o najwyższe wartości stworzone przez ludzkość w procesie jej rozwoju.”

II. POZYCJE IDEOWE BADAŃ LITERACKICH ORAZ KRYTYKI. Poziom naukowy prac z zakresu literaturoznawstwa wzrósł w latach ostatnich wyraźnie — stwierdza Riurikow. „Nasi uczeni w wielu wypadkach nie tylko przewyższyli fałszywe koncepcje badaczy burżuazyjnych, lecz również dali nowe marksistowskie naświetlenia złożonych i trudnych problemów”. Ten zaznaczający się wyraźnie od początków lat trzydziestych postęp

naukowej myśli badawczej w literaturze dokonywał się w ciągu tego czasu w nieustannej walce z koncepcjami fałszywymi i wrogimi marksistowskiej metodologii. Badacze literatury przewyżczyli wpływy formalizmu, który aż do połowy lat trzydziestych dawał o sobie znać w niejednej pracy teoretycznej — literackiej jako też w opracowaniach historycznych. Formalizm uznawał nadrzedną i autonomiczną względem treści utworu wartość jego oznak formalnych. W ten sposób w praktyce pomniejszano i pomniejszało i wychowawczo-ideowe znaczenie literatury.

Tak samo poddano w swoim czasie ostrej krytyce idealistyczne i w istocie rzeczy kosmopolityczne poglądy komparatystów, dla których cała literatura światowa przedstawiała się jako inwentarz wątków powtarzanych w poszczególnych utworach poprzez różne nowe kombinacje i zestawienia. Riurikow pisze, że „główna treść i myśl tej krytyki polega nie na tym, żeby pokazać błędy takich uczonych jak Wieselowski oraz jego naśladowcy, lecz raczej na tym, żeby zwrócić uwagę na pozytywną stronę zadania: ukazać z całą głębią korzenie jakimi geniusze literatury związani są z narodem, który ich wydał, z krajem ich rodzinnym”.

„Ta walka z komparatyzmem sprzyjała niewątpliwie rozwojowi naukowemu radzieckiego literaturoznawstwa. Co prawda i tutaj nie obeszło się bez trywizacji. Znałeli się krytycy, którzy każde słowo o wpływach tego lub innego pisarza Zachodu na pisarza rosyjskiego natychmiast obwołali jako bunt i z miejsca opatrywali etykietą kosmopolitycznej czolobitności. Odrzucamy wulgarniejsze próby odgródnienia historii literatury rosyjskiej od literatury światowej. Próby takie, mają charakter antynaukowy, są obce naszemu światopoglądowi”.

Następnie Riurikow mówi, że walka z wulgarnym socjologizmem była również wielkim i głębokim procesem mającym dla rozwoju literaturoznawstwa radzieckiego znaczenie wyjątkowe. W konkluzji — stwierdza Riurikow — „w walce z poglądami o charakterze antynaukowym i antydemokratycznym literaturoznawstwo obroniło i rozwinęło pojęcie literatury jako szerokiego i pełnego realnej treści obrazu życia narodu, jako wyrazu ducha narodu, odbicia jego piękna oraz duchowego bogactwa. W walce z fałszywymi poglądami utrwaliło się i przyjęło pojmowanie literatury jako specyficznej formy poznania oraz działalności człowieka, wzbogaciły się nasze pojęcia o jej artystycznym wyrazie, o jej moralnej i ideowej sile”.

Dalej referent przechodzi do zagadnień tradycji rosyjskiej krytyki literackiej. Jednym z osiągnięć nauki o literaturze jest opracowanie puścizny rewolucyjno — demokratycznej krytyki. „W historii krytyki

(Dokończenie na str. 7)

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

W imię naszej serdecznej przyjaźni

(PRZEMÓWIENIE NA II ZJEŹDZIE PISARZY RADZIECKICH W DYSKUSJI NAD REFERATEM MIKOŁAJA TICHONOWA)

D rodzy przyjaciele! Jestem bardzo zadowolony, że dla nas mi jest możność nie tylko uczestniczenia w tak wzruszającym i ważnym wydarzeniu jakim jest Wasz Zjazd, lecz również wygłoszenia kilku słów w tej historycznej sali, w której brzmiał niegdyś głos Teodora Dostojewskiego, a co ważniejsze — w której dwadzieścia lat temu rozbrzmiewały słowa Maksyma Gorkiego, który z tak genialnym natchnieniem i z tak wielką ojcowską troskliwością kierował powszechną walką o postęp w dziedzinie literatury.

Referat Tichonowa w sposób niezwykle skondensowany, nieunikniony ze względu na ograniczenie czasu, dał nam przegląd współczesnej literatury całego świata. Tichonow mówił w swym referacie o znaczeniu, jakie zyskała literatura radziecka dla postępowych pisarzy całego świata, o wyjątkowej roli, jaką odgrywa ona nie tylko dla pisarzy krajów demokracji ludowej, lecz również dla wszystkich pisarzy-humanistów i pisarzy-rewolucjonistów w krajach kapitalistycznych.

Być może, z przyrodzonej mu skromności — Tichonow jest przecież sam jednym z tych wybitnych pisarzy, którzy tworzą obraz lite-

ratury radzieckiej — a może też za to dlatego, iż uważa fakt podobny za najzupełniej naturalny i zrozumiały sam przez się, referent udzielił zbyt mało uwagi znaczeniu, jakie literatura radziecka ma dla wszystkich ludzi ziemi, oraz wpływowi, jaki na nich wywiera.

Słyszeliśmy tutaj wzruszające przemówienia przedstawicieli Chin Ludowych i Wietnamu. Słowa przez nich wypowiedziane o znaczeniu literatury radzieckiej dla walki o życie ich narodów powinny być wywołac u pisarzy radzieckich — i z dumy. Podobne były przemówienia przedstawicieli krajów demokracji ludowej. Ze swej strony mogę Was upewnić, że pisarze polscy oraz cały nasz naród zawdzięcza literaturze radzieckiej wiele swych sukcesów i zwycięstw. Pisarze zawdzięczają jej przewyżczenie niejednej ze swych słabości, naród zaś — nie jedno zwycięstwo na froncie twórczej, pokojowej pracy w budowaniu wszystkiego co nowe, radośnie i dobre, wszystkiego co jest siłą i dumą naszej ojczyzny. Zarówno książka radziecka jak i radzieckie pismo są naszymi prawdziwymi przyjaciółmi, a dyskusje prowadzone w Związku Pisarzy Radzieckich

(Dokończenie na str. 2)

Z I FESTIWALU FILMÓW CHIŃSKICH



List z piórkim

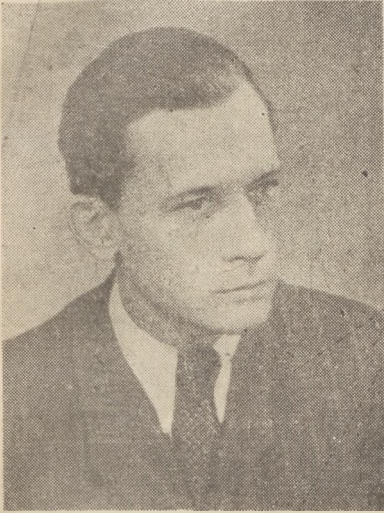


Kiedy się pobierzemy?

Ankieta „Nowej Kultury”

Pisarze wobec dziesięciolecia

ANDRZEJ BRAUN:



Zjawisko, że w dotychczasowym przebiegu ankiety „Nowej Kultury” przeważały głosy pisarzy starszego pokolenia, przy wyrażeniu niedostatku głosów młodszej generacji, tej która zaczynała pisać, tworzyć i kształtować się w warunkach Polski Ludowej, wydaje mi się nie tylko charakterystyczne, ale i w dużym stopniu zrozumiałe. Trzeba pamiętać, że — wbrew pozorom — łatwiej jest ustosunkować się do swojej pracy twórczej, swoich przemian i doświadczeń w ciągu ostatniego dziesięciolecia pisarzem, których droga twórcza zaczęła się przed wieloma dziesiątkami lat, którzy do czasu wojny przeżyli już pewne etapy swego rozwoju, zamknęli pewne kręgi doświadczeń, dla których ostatni okres pracy twórczej w Polsce Ludowej jest tylko pewnym odcinkiem, może najtrudniejszym, wymagającym najwięcej zmagania wewnętrznego, zmuszającym do najradzykalniejszych przemian swej ideologii, swych upodobań artystycznych i swego warsztatu pisarskiego, całej swojej teorii i praktyki pisarza, ale obejmującym tylko pewien wycinek bielsu życia. Trudniej jest przeprowadzić ten obrachunek ludziom dla których dziesięciolecie nasze zamyka niemalże w sposób: napisałem niewiele, przeżyłem i przemyślałem ogrom. Gdyby ograniczyć się do swojej twórczości wyglądałoby to na wyolbrzymianie spraw i brak proporcji, natomiast gdyby pisać o najistotniejszych dla mnie sprawach niezależnie od tego czy dałem im wyraz w swej praktyce twórczej, czy też były one tylko krwią i miąższem mojego serca, to tylko wtedy gdyby można było naprawdę szczerze i gdyby było warto. A przecież tego nie wydrukują, bo to jakoś nie pasuje do świątecznej atmosfery jubileuszu.

Z tymi oporami i wahaniem nie zgadzam się. Sądzę, że to co pisarz myśli i czuje, w jakimś ogólnym rachunku jest nie mniej ważne, niż to co napisał. Jeśli daje nam się kredyt zaufania na przyszłość, jeśli czeka się na nasze książki jako na ważny wkład w socjalistyczną literaturę, nie można lekceważyć tego co myślimy czy czujemy dzisiaj, cośmy wynieśli z burz i wichrów dziesięciolecia. A mówić, szczerze mówić trzeba, zwłaszcza jeżeli jest jakieś minimum perspektywy. Mam 31 lat, gdybym powiedział, że moje świadome życie pokrywa się z dziesięcioleciem, byłby to tylko deklaracyjny frazes. 45 rok zastał mnie człowiekiem dorosłym. Człowiekiem młodym, ale dorosłym. Byłem już ojcem, miałem rodzinę, byłem dawno po maturze, po latach walki o byt w tym bezpośrednim, prymitywnym znaczeniu: ugania się za zarobkiem, dziesiątkiem przygodnych robót i zawodów, i tym szerszym: walki zbrojnej ze śmiertelnym wrogiem, zabijania ludzi, miesiecy głodu, wszy, „lasu”. Byłem człowiekiem młodym i naiwnym w sensie intelektualnym, bez ugruntowanego światopoglądu, a już z rozczarowaniami i szramami na duszy; z odciskami życia na młodzieńczych dłoniach, a z wrażliwością serca otwartego na prawdę. Byłem człowiekiem dorosłym w sensie emocjonalnym: wiedziałem, że życie jest trudne, ale trzeba je zdobywać i uszlachetniać. Byłem inteligentem z domu, a niedokończonym, zdeklasowanym „partyzantem” z życia. Syn nauczyciela na włókienniczo-bezrobotnych Bałutach, znałem dobrze teatr, Spencera i Conrada. Nie znałem religianctwa, ONR-u i kultu „marszałka”. Miałem dziecinny pokój i mundurek z „tarczą” państwówki, ale bawiłem się na bałuckich podwórkach z przyjaciółmi z kursów wieczorowych. Nie słyszałem o MOPR-ze i KZM-ie, byłem nauczycielsko-postępowy (społecznikowski) i „plomykowo”-niepodległościowy. Czytałem Archilocha, Fausta, Firdusiego i Kalidasa — i robiłem buty, pedziłem bimber, nosiłem rolki papy i najmowałem się do wykopków. Wreszcie Byronów, Ramajany i Carrelów sprzedawałem, aby opłacić klinikę na urodzenie dziecka, a poszedłem rozstrzeliwać w lasach „własowców” i stać na

warcie pod dworem b. premiera Kwiatkowskiego. Nie bałem się Armii Czerwonej — bałem się krachu swego życia i swej filozofii.

Tak więc dziesięciolecie zapoczątkowało nie tylko świadome życie moje i mego pokolenia, ale ponadto od samego początku niosło spłatanie długów niedługiej przeszłości, już było przezwyciężaniem młodzieńczego ideału.

A jednak, jeśli spojrzę dzisiaj na ten próg, jakże byłem wrażliwy, świeży, ofiarny i bezkompromisowy.

W przeciwieństwie do obecnego pokolenia młodzieży, której kłeska jest „brak biografii”, to że wszystko dla nich jest tylko słowem, że za żadną z myśli czy poglądów nie stoi własne przeżycie, jakkolwiek praktyka, że wszystko dostali gotowe — w przeciwieństwie do nich my to, cośmy zdobywali, zdobywaliśmy własnym trudem i na własną rękę. Ugruntowywanie i organizacja władzy ludowej, walka z opozycją, własny charakter, poglądy, postawę, drogę życia i twórczości — to dużo. Byliśmy bezkompromisowi, neoficko żarliwi, pełni energii, zapалу i ognia. Nie lekceważyłem tego co robiłem wówczas — byłem aktywną, jednoznaczną, bojową. Ale teraz zastanawiam się, czyśmy byli wtedy ludźmi postępowymi? Mieliśmy postawę i mentalność „żelaznych na robotę”. Obiektywnie była nas garstka, owych „Zetwumowców” i „Życiowców”, odizolowanych od ogółu, żyjących własnym, zamkniętym światem środowiska, politycznymi akcjami Partii, walką i ideałami komunisty. Nieufni wobec ludzi, często sekciarscy, ale ofiarni do samozaparcia i chyba bohaterscy.

Był w tym życiu wielki romantyzm, może trochę podobny do okupacyjnego, ale inny, klarowny, uczciwy, mocno osadzony w przyszłości i w intelektualnym obrazie powojennego świata. Żyliśmy tym (częściowo) wojennym komunizmem. Wszystko było proste i niewątpliwe jak sama walka. Tak było i w twórczości — wiersze nasze „ojcowie literacy” przyjmowali z uśmiechem pobłażania, ale nie mogli ich odepchnąć. Mieliśmy jasny program na „nie” i mgliste zarysy nowych treści. A jednocześnie nigdy bardziej niż wówczas nie byliśmy pewni swej drogi w przyszłość, koncepcji własnej osobowości, słuszności i oczywistości nowego, które reprezentujemy my. I to właśnie życie „na delegacji”, to że „szło się na robotę”, dawało poczucie szczęścia i prostoty. „Szło się na robotę” — ale skąd? Odrzucając stare, trzeba było napisać swoje wewnętrzne nowym, aby na tym budować przyszłość. Mieliśmy nauczycieli, oprócz rzeczywistości, którą uczyli dobrze i prawidłowo, mieliśmy nauczycieli personalnych. Niemalże zasługi wobec naszego rozwoju i kształtowania się tak ideologii jak i twórczości miało ówczesne łódzkie środowisko kulturalne, redakcja tygodnika „Kuznica”. Niemniej nieśliśmy w sobie już od zarania nowej rzeczywistości jakiś wewnętrzny konflikt. Była to szpara między daleko naprzód wysuniętą sferą działania, aktywności zewnętrznej faktów, a zacofaną, dziewczą i nieklarowaną dziedzina świadomości, nie w sensie filozoficznych dogmatów i systemów (to wkuwaliśmy gorączkowo), ale w znaczeniu wewnętrznej, osobistej, intelektualno-uczuciowej jedności, jaką stwarza tylko wieloletnie doświadczenie życiowe. Aby być do

(Ciąg dalszy na str. 4)

JAN DOBRACZYŃSKI:



Dziesięć lat! Jak szybko zleciały, a tak bardzo były brzemienne w wydarzeniach, przemiany, przeżycia!

Widziałem w ich zasięgu rzeczy, których całym pokoleniem nie było danym oglądać. Widziałem agonie rodzinnej miast i widziałem jak odnastalo z ruin i ospisków nowego życia. Umierali przy mnie ludzie bliscy mi, najbliżsi — i rośli, dorastali, zbliżali się do mnie inni, których przedtem widziałem dziećmi. Rozchodzili się drogi moje i moich dawnych towarzyszy — spotykałem się na nowym szlaku z innymi.

Dziesięć lat minęło jak krótki sen. Lecz gdy obudziłem się z niego, spostrzegłem, że nie tylko tak wiele zmieniło się wokół mnie, ale i ja sam stałem się innym niż byłem człowiekiem.

O czym tu mówić, gdy tyle rzeczy narodziło w człowieku, że prawie siebie nie potrafi poznać? Ankieta, do udziału w której zostałem zaproszony, nosi tytuł: pisarz wobec Dziesięciolecia. Mówmy więc o sobie jako o piszącym.

Początek Dziesięciolecia zastał mnie nad stosem rękopisów, napisanych przed i podczas wojny. Ale już w parę miesięcy później ogień zagroził temu dorobkowi dziesięcioletniej mniej więcej pracy. Nie pochłoniął go w całości. Jeden maszynopis ocalał pod garnkiem z marmeladą; garnek pękł, marmelada zalala plik papierów i ocalała go od spłonięcia; inny „wyjechał” z Warszawy w wózku dziecinny, pokrapiany z lekka przez leżące na nim niemowlę; trzeci... Mniejsza zresztą o ich dzieje. Habent sua fata libelli... Większość z nich ocalała, a te które ocalały zostały nawet wydane. Ale myślę, że pomiędzy dorobkiem tamtego, „mojego”, dziesięciolecia a powstającym później nowym dorobkiem powojennego — a również i mojego — Dziesięciolecia, zarysowała się poważna szczelina. Szczelina jaka zwykła jest dzielić czas zwykłych spostrzeżeń od czasu wielkich odkryć.

Przed dziesięciu laty rozpoczęła się w Polsce wielka społeczna, gospodarcza i kulturalna rewolucja. W pewnej mierze pierwsze jej podmiury dawały się odczuć już wcześniej — wtedy gdy wielu ludzi w Polsce dochodziło do przekonania, że świat w którym żyjemy skarłał duchowo i ugrzązł w niesprawiedliwości, że stał się światem w którym jedni mogą żyć ale dla innych życie stało się nie do zniesienia — a najważniejsze, że ta ciepława, zakłamana atmosfera „byczo jest” i pseudomocarstwo

wości dusi i dławii. Już gdzieś w roku trzydziestym piątym, który uważam za rok początkowy mojej kariery pisarskiej, wiedziałem, że pragnę czegoś innego, Czegoś — na inną miarę. Chociaż — to prawda — nie byłoby mi wtedy łatwo powiedzieć czego chcę...

Tak było. Ale temu także nie mam zamiaru zaprzeczyć, że rewolucja w pełnym biegu, którą znalazłem powróciwszy do kraju w maju r. 1945, nie była w swej całości tym czego oczekiwałem. Widziałem w niej wiele rzeczy, które od samego początku wydawały mi się dobre i „moje”; widziałem inne, wobec których odczuwałem nieufność. Byłem — i jestem — katolikiem. Mój światopogląd nie ma nic wspólnego z materializmem historycznym czy dialektycznym. Wyraza z realizmu opartego o prymat ducha. Zbudowany jest na miłości jako na głównym motorze działania. Uznaje potrzebę wiedzy, ale przywiązuje na końcu jej działania akt wiary. Ceni geriusz człowieka, lecz ostateczną ufnosć kładzie w Bogu.

Lecz — powtarzam — widziałem jak równocześnie z materializmem marksistowskim dokonuje się w Polsce rewolucja społeczno-kulturalna. Granica kraju oparła się — o czym zaledwie śmieliśmy przedtem marzyć — na starych, piastowskich rzekach Odrze i Nysie. Ruiny zamieniały się w nowe budowle. Zniszczony przemysł odbudowywał się i przestawał swoje dawne rozmiary. Kraj poczęł kwitnąć dziećmi. Ludzie, którzy dawniej nie mieli możliwości dotarcia do oświaty — zapewniali szkoły. Nagle — obudził się wśród setek tysięcy potężny, porywający głód wiedzy. Największe wydania książek okazywały się niewystarczające. Miliony zapagnęły uczyć się, poznawać, czytać. Wrogość, niechęć lub pogarda, jakie cechował nieraz nasz stosunek do naszych sąsiadów — poczęły się przemieniać w przyjaźń. Staliśmy się — całym swym narodowym bytem — głosem, który woła o pokój.

Czy — będąc katolikiem — mogłem myśleć o tych sprawach niechętnie? Czy mogłem nie wziąć udziału w tym wszystkim co wydawało mi się umacnianiem potęgi Polski?

Wróciłem do kraju w przekonaniu, że nie co polskie nie może mi być obce. Instynkt narodowy przemawiał we mnie głośniejszy niż skrupuły światopoglądowe. Powróciwszy przekonałem się, że ten instynkt nie zawiódł mnie. Jestem przekonany, że zdrowa miłość do własnego narodu nie klóci się i nie może się klócić z wiarą w Boga, który przecież — w to, rzecz jasna, wierzę — sam ten instynkt stworzył. Rewolucja społeczno-kulturalna, jaka się dokonuje w Polsce, jest fragmentem wielkich przemian dokonujących się w całym świecie. Do takich przemian trzeba dorosnąć. Ale i dorastanie, tak samo jak instynkt, są naturalnymi odruchami w człowieku.

Znowu muszę problem zwięzić: sprowadzić go do ram zagadnień pisarskich. Gdy nadchodzi epoka przemian bardzo wielkich i bardzo rychłych, wymaga ona od człowieka pospiesznego dorastania do swych proporcji. Lecz wtedy pisarz musi dorastać dwa razy szybciej. W życiu, w którym każdy dzień narzuca konieczność szukania nowej postawy i odnajdywania nowego rozwiązania, zadania pisarza są wielokrotnie trudniejsze niż kiedykolwiek. Wprawdzie pisarz w Polsce otrzymuje wspaniałą zachętę, jaką jest nieznaną dotychczasą głód książki w masach — lecz jednocześnie musi pamiętać, że ten głód stawia go wobec tym większej odpowiedzialności za słowo, odpowiedzialności po prostu groźnej, gdyż wiemy, że głód niezaspokojony zwykły sobie szukać zaspokojenia w niewybrednych i szkodliwych paliatywach.

Wydaje mi się, że niedźwiedzia przysługę wyrządzają pisarstwu w Polsce ci wszyscy jego „krytycy” i „opiekunowie”, którzy napedzają piszących do pewnych tematów, ba, domagają się od nich nadmiernie szybkiego uiszczania się z pokazanych im rzeczy — zamiast zachęcać ich do pogłębiania się i dopiero wówczas stawiania pewnych zagadnień. Na pewnym zebraniu pisarzy katolickich pozwoliłem sobie stwierdzić, że pisanie o księżach, świętych i bohaterach Starego oraz Nowego Testamentu nie jest jeszcze literaturą katolicką. Tak samo myślę, że pisanie o kombinatach przemysłowych i spółdzielniach rolniczych nie jest jeszcze pisanem o dokonujących się rewolucyjnych przemianach. Nowe formy struktury czy techniki znajdują swój oddźwięk w człowieku i pisarz winien przede wszystkim dotrzeć do tych konfliktów, oporów, odruchów czy wątpliwości jakie w psychice człowieka powstają. Ale żeby do tego dotrzeć, nie wystarczy tylko patrzeć — oczami obserwatora. Trzeba się jakoś zbliżyć przeżyciem własnym — do przeżycia ukazywanego człowieka. Tak mi się przynajmniej zdaje. Nie chciałbym wyrażać tej opinii w sposób kategoryczny. Nie uważam się, brzo Boże, za krytyka. Nie lubię nikomu czegośkolwiek narzucać, a nawet doradzać. Jestem rzemieślnikiem swojego warsztatu i dzielę się jedynie własnymi doświadczeniami.

Dla mnie, sprawa tematu nie wydaje się sprawą najważniejszą. Osob

(Dalszy ciąg na str. 4)

JERZY MILLER

PIOSENKI Z ZIMY 1942

POEZJA

Darmo proszą mnie w domu bym nad Wisłę nie chodził, bo nad Wisłą, wiadomo, nie zobaczy się łodzi,

ani statków ni zwierząt, ani wiosel ni sieci. Po wiślanym wybrzeżu chodzą przyszli poeci.

Spoglądają na rzekę w krze i śniegu. I błędną. Wisło, weź ich w opiekę, bo im już wszystko jedno.

Bezradnymi myślami, bezskrzydłymi słowami dziobią ziemię zakrzepłą, w której wnętrzu jest ciepło.

I ja szedłem w ich ślady pustynią Wsiołstrady, aż się w ciszę wiślaną w gęstniejący już mrok wdarł okrzyk esesmanów: — du, Junge, Haende hoch! —

MACIERZYŃSTWO

Placz powierzyła oknu i kłonom na podwórzu i śpiewającym nokturn dzikim na gruzach różom.

Muzyce jak szkło kruchej i mnie — synowi swemu, com szedł przez miasto głuche na wprost niewiadomemu.

Któż w drodze się nie gubił, łunami oświełonej, rnięjącej się jak rubin w złoto gwiazd oprawiony?

Lecz ja dziś jeszcze wrócić, zamieci zlej się opre. — Słyszysz? Otwieram kluczem domu naszego okręt...

Nie we mnie wymierzony był strzał, co z ulic zmiotł przechodniów przerażonych i z ciszą dyskurs wiodł.

To tylko patrol któryś, przed wejściem w noc złowrogą, salwą uprzedza z góry jaką iść będzie drogą.

KOLEDA

Idzie chłopczyk z Muranowa przez podwórze Wolskiej. Zna już ojczenez i zdrowa i piosenki polskie.

Ale zdradzi się wymową, że jest żydkiem z getta.

Lepiejby już był niemową jak żebracy z Freta.

Ale zdradzi się wyglądem, że jest schweine-jude. Granatowy mu zagładnie między nóżki chude.

Zanim koleś się nauczy dla kromki razowca, wyda go sklepikarz z Kruczej władzy gestapowca.



Rys. Andrzej Strumiłło

Albo zaśnie gdzieś w ruinach i już się nie zbudzi. Albo zwabi go kantyna pełna sytych ludzi.

Wejdzie w ciepło nur fuer deutsche z mrozu i śnieżycy w gwarną cibbę uczującąj w kantynie policji.

I wywloką go, zlorzecząc, na śnieg i zastrzelą. Potem spędzą zwykły wieczór u maedchen z bordelu.

MIŁOŚĆ

O zdanie — czy ma przyjść — nikogo nie pytała. Wśród ruin i wśród zgłiszcz jak róża zakwitła.

Któż oparł się jej magii, jej mocnym alkoholem? Księżyc nad Agriolą śmiał się z młodych odwagi.

Z przysięg starych jak świat, (on je reżyserował!) aż któreś nocy zbłądł jego srebrzysty owal.

*

Rzekła mi kiedyś na biwaku, że pragnie wiecznie żyć, cieszyć się, śmiać, bo była taką jaką powinna być.

Niosła w dziewczęcej teczce pęk granatów jak owoców. Uczyla nas poskramiać lęk całego serca mocą.

Przyszła w podszytym wiatrem palcie i w sukienicy taniej. Powieźli ją w pancernym aucie na Szucha na badanie...

Po jej odejściu noc zapadła nad mej młodości światem, alem już wiedział, że do światła dobieję się granatem...

NADZIEJA

Przygnała skądś ze Wschodu, którądy — nie wie nikt. Wśród śniegu i wśród lodu jej kształt gorący stygl.

Już zimny był, to znów jak fosfor się rozpałał. Gdyś szukał dla niej słów, zniknęła w śnieżnych dalach.

Swą bliskość ogłaszała spłoszonych syren wrzawą. Rakietą wystrzelała nad wojenną Warszawą.

Wiła się krwawą pręgą pociągów sanitarnych. Z zenitówek zasięgu uchodziła bezkarnie.

Pierwiosnkiem była łąk i lasów, gdy zieloną rośliną spadochronu rozkwitła ponad mgłą.

Wysokie życia drzewo z gałęzi swych strzepuje sadzę i proch. I śpiewu z oddali nasłuchuje.

A ja?... Jeśli nie zgine, jeśli serca nie stracę ocale tę godzinę miły, rosyjski bracie.

Pisarze wobec dziesięciolecia

JAN DOBRACZYŃSKI:

(Dokończenie ze str. 3)

biście mam pewne zaciecie historyczne i łatwiej mi przedstawiać sprawy, które przeżywałem w perspektywie historycznej. Ale czyż „Piotr Pierwszy” (proszę mi wybaczyć, że sięgam do tak wielkich porównań) nie był powieścią o sprawach dla autora bardzo aktualnych? Albo „Faraon”? Daleki jestem od twierdzenia, że tak tylko trzeba pisać. Zdaję sobie z tego sprawę, że czytelnik chętnie widzi powieść współczesną, a np. czytelnik francuski w ogóle prawie nie trawi powieści historycznej. Lecz, podkreślam, wydaje mi się, że nie temat decyduje. Decyduje sprawa, której się służy.

Tak: której się służy. Myślę, że to stwierdzenie, które przed dwudziestu laty wywalało pogardliwe wzruszenie ramion, dziś — niezależnie od różnic światopoglądowych, które nas dzieli — mogło postawić. Sądze, że katolik i marksista rozumieją się, gdy mówią o bajce o sztuce służącej czemuś ważniejszemu.

I gdy się tak stawia rzecz, temat jest ostatnim rekwizytem w dziele. Głębiej stoi sprawa człowieka. Jeszcze głębiej — sama sprawa. Z ostatnich literackich dyskusji widzę, że pewne tematy zostały „spalone” i że analiza krytyczna sięgnęła poza temat do człowieka w utworze, by tropić jego papierowość. Sądze, że gdy pójdzie jeszcze głębiej i sięgnie samej prawdziwości przeżywania u autora — odkryć zdola prawdziwe sedno słabości wielu dzieł.

Niestety — mam wrażenie, że krytyka, która do niedawna domagała się za wszelką cenę współczesności utworu, udatniała sobie tym po prostu swe zadanie. Wszystko co nie było współczesnością kwalifikowało się jako „ucieczka” lub w najlepszym razie „metafora”. Oczywiście można mówić o metaforze, ale pod warunkiem, że się nie określa tego mianem dążenia do pokrywania wieloznacznych symbolami rzeczy, których autor nie chciał czy też nie mógł wypowiedzieć wprost.

Osobiście, przynajmniej, lubię metaforę. Nie wierzę w zamknięty krąg losów ludzkich, ale myślę, że istnieje pewna powtarzalność odruchów psychologicznych u człowieka. Znowu proszę mi pozwolić, że powrócę na własne podwórko: jako katolik, bogaty schedą 20 wieków chrześcijaństwa, wiem, że istniały epoki, w których chrześcijaństwo musiało uzasadniać potrzebę swego istnienia i epoki, w których szedł po prostu siłą ciężkości swego istnienia. Katolicy przygrywali przypływy i odpływy swych sił duchowych. Posiadali kolejno postawę zdobywcą i postawę zdobywczą. Głosili krucjaty i zamykali się w warownych i ciastnych okopach Sw. Trójcy...

Oczywiście katolicyzm był ponad tym wszystkim. Cechą katolicyzmu, która mnie chyba najmocniej do siebie przyciąga, było nie to, że wszyscy jego wyznawcy są świętymi, ale to, że nawet najgorsi, chcąc lub nie chcąc, demonstrowali jego świętość. Jego przedstawiciele mogli popełniać straszne błędy, twórcy przerażające instytucje w rodzaju inkwizycji, która będzie palić wraz z heretykami wielkich świętych (jak to miało miejsce z niejaką Joanną d'Arc) — ale w pewnej chwili zmienia się ludzie, zamrze więcej szkody niż pożytku przynosząca instytucja, a święty wstąpi tam, gdzie jest jego miejsce — na ołtarz. Jeden z naszych najgłębszych filozofów współczesnych nazwał katolicyzm „układem dogmatycznym niepełnym”. Oznacza to, że w nim wszystko jest już zrobione w zakresie dogmatów — i wszystko jest do zrobienia w zakresie życia. Że jest to budynek postawiony na bardzo trwałych i niezmiennych fundamentach, ale o dającej się przebudowywać — zgodnie ze stylem epoki — fasadzie.

Może mi kto powie (wierzę, że bez złośliwości): dawniej to była fasada dopasowana do czasów krzywd; teraz, gdy krzywda już dalej trwać nie mogła, chciałbyś zmienić fasadę?

Nie sądzę, aby takie rozumowanie było słuszne. Nie chcę twierdzić, że my, katolicy, nie jesteśmy odpowiedzialni za krzywdy, jakie były popełniane w epokach, gdy siła opiodawcza czy nawet prawodawcza katolicyzmu była większa niż dziś. Ale wydaje mi się, że byłoby jakimś nadmiernym uproszczeniem zagadnienia, gdyby się chciało błędami katolików obciążać całe rachunek katolicyzmu. To nie okoliczności zewnętrzne zmieniają wraz z wiekami jego fasadę, ale potrzeba wewnętrznej konsekwencji. Gdy katolicy stali się dziś czuśli na krzywdę społeczną głodnych czy uciskanych, to przecież potępienie tej krzywdy znalazło nie poza katolicyzmem, ale — właśnie w nim.

Pisarz katolicki — znów wróćmy do pisarza — w epoce wielkich przemian musi być tym kimś, kto wedle słów Ewangelii „dobrywa ze skarba swego rzeczy nowe i stare” (Mat. XIII, 52). I myślę, że największym z odkryć jakiegoś udało mi się dokonać w powojennym dziesięcioleciu — odkryciem, które dobytek ze „swego skarba” ale dzięki rewolucji jaka się dokonała w Polsce — stanowi to, że wszystko cokolwiek wyrasta z konieczności naprawiania zła, jakie zostało wywołane człowiekiem, wszystko co służy dobru drugiego, jest sprawą obowiązującą katolika, a katolika-pisarza w pierwszym rzędzie.

Jan Dobraczyński

ANDRZEJ BRAUN:

(Dalszy ciąg ze str. 3)

subtelniejsze rozważania w lirykach lozańskich czy wierszu „Polacy się żyły me czyste, rzesiste...“ nie tylko nie wytłumacza, ale i nie zatra tego porównania wrażeń siły i potęgi, jakie wywiera na każdym uczniu szkolnym Wielka Improwizacja, czy finał IV-ej pieśni „Beniowskiego”. Narodowa, postępową tradycją to nie tylko liryki lozańskie, „Uspokojenie” czy „Anioły stoją na rodzinnych polach”, ale przede wszystkim to coś co bije z „Dziadów”, „Kordiana”, „Beniowskiego”, „Niebońskiej komedii”. Znadto mistrzowie przykrawali tę tradycję do swoich upodobań i praktyki, za mało widzieli w niej wzorów postawy i ideologii walki. Coś najważniejszego zagubiono w tej tradycji.

Podobnie z problemem trwałych zasad narodowej poezji. Wspominałem, że wśród naszych nauczycieli było wielu wybitnych i doświadczonych poetów, szczerze kochających poezję. Ale było i wielu, zbyt wielu, suchych, talmudycznych spekulatorów z oschłym sercem i guzami matematycznymi na łysym czole. Ci zrobili szkody najwięcej. Walcząc z naszą spontanicznością i niekierownością, nie przeciwstawili naszej uczuciowości żadnych własnych uczuć. Nie wierzę w poetę, który przez dziesięć lat naszego burzliwego życia napisał dziesięć wierszy, i każdy z tych wierszy był „płatkowym” rozwiązaniem postawionego sobie zadania. Nie wierzę w robotki poetyckie, choćby na poziomie mistrzowskim. Związawsza jeśli głównym zadaniem tych poetów w owych dziesięciu latach jest abstrakcyjne formułowanie teorii i kryteriów poezji, tradycji i trwałych zasad formalnych. Poezja nie jest chemią ani algebrą, wymaga serca i wrażliwości, wymaga uczuć i z uczuć się rodzi. Nie wierzę w takich poetów, ale wtedy wierzę. To byli ludzie, którzy wbrew pozorom nie lubili poezji, a jeśli lubili ją jako specyficzną pojęty rodzaj zadań szachowych, to nie lubili życia i ludzi. którym ona ma służyć. Na szczęście za każdą teorią stoi praktyka. W wyniku rozważań o „kroku czarnośkim”, sylabotonicie etc. rodzi się praktyka redaktorska i autorytet rozciągający protektorat nad tradycyjnymi, konwencjonalno-nijakimi strofami, kamieniami letnich łatwych rymopisów. Tak oto z największych, najuczciwszych zakłód rodzi się mizerna oportunistyczna praktyka. Coś tu znów przeoczył talmudysta. Nie przeoczył — ich to po prostu nie obchodzi: żywy, uczuciowy człowiek, który musi stać za wierszami. Zaciekle i abstrakcyjnie korygując odstępstwa wypracowywał gabinet woskowych figur. Krzyknęli: nos jest dla tabakierki. O, jak zbrzydlił nam poezję mądry człowiek, który jej nie lubił!

Wszystko to zrobiło mimo woli atmosferę przeciwko poezji. Obniżono jej autorytet i zepchnięto na margines literatury. Czytelnika, nowego, masowego czytelnika, który sam pisuje nieudolne wiersze, robotników, którzy nie czytając książek znali na pamięć wiersze Broniewskiego, tego ludowego czytelnika, dla którego poezja wcale nie jest chińszczyzną czy czymś sztucznym, dla którego polecie literatury już w pierwszym zdaniu z wierszami się kojarzy, zrażono do poezji. Co poezji w ogóle? Nie — „poezji współczesnej”. Niszcząc — w walce o poziom i technikę, o tradycję i narodową formę — żywego, konkretnego, współczesnego człowieka stojącego za naszymi wierszami, przecięto więc łączącą współczesnego poetę z odbiorcą. Nie może istnieć poezja bezosobowa. Izolacja „poezji współczesnej” u czytelnika tego dowodzi.

Nie ma już dziś nic z tej atmosfery, która kiedyś rodziła poetycki ferment, która powodowała to, że poezja przodowała w literaturze, trafiała do czytelnika, liczyła się. Nie ma planów, dyskusji, zapala. Nie ma wierszy ciekawych. To miejsce i w zadaniach literatury, i w uwadze czytelnika zajęła powieść.

Z perspektywy dziesięciu lat można już powiedzieć, że o ile do powieści przykłada się największe wymagania, ambicje i wzorów, o tyle do poezji, wbrew szamańskim zaklęciom o Mickiewiczu, stosuje się program minimum. Mówiąc o prozie mówimy wyłącznie o Tolstoju, Balzaku, Szolochowie. mówiąc o poezji nie mówimy o „Dziadach”, „Beniowskim”, „Kordianie”. Pochwała się, proteguje, uprawia mała poezja, pewną małą lirykę (oczywiście mówiąc o poezji prawdziwej), a nie „robotkach”. Tak się zbiera, że w minionym okresie mieliśmy szereg wybitnych poetów uprawiających pewien rodzaj liryki. W tym zakresie twórcy ci dali poezji naszej wiele trwałych osiągnięć. Nie ich wiina, że uprawiani przez ten zakres problematyki i form został jakoś samo przez się zrównany z pojęciem poezji w ogóle. Staff, Iwaszkiewicz, Słonimski, Jastrun, a nawet w pewnym stopniu Tuwim, mimo że dali wspaniałe wiersze w swoim rodzaju, jakoś właśnie przez ten zakres liryki ograniczyli pojęcie i wzory poezji. Przez dziesięć lat dużo dyskutowano u nas o Lenartowiczu, a ile razy o „Fauście”, byronowskim „Don Juanie”? Zawężone minimalistyczne spojrzenie na poezję przez jej aktualnych mistrzów i autorytetów zepchnęło ją na margines życia literackiego i uwagi czytelnika.

Niemala była wina i z naszej strony. W bojowym, ożywionym „aktywnym ale naiwnym” okresie walki o współczesną, polityczną i agitacyjną poezję zaczynaliśmy wpadać w swojego rodzaju sektciarstwo. Mając duże trudności w praktycznym realizowaniu naszych programów, nie mogąc się uporać z wieloma problemami formalnymi, stawaliśmy na pograniczu jakiejś poetyki normalnej, zajmowaliśmy pozycję nietolerancji, bezlitosnej pryncypialności i sztywności ideologicznej — artystycznego. Grzechem dla nas był każdy wiersz, który nie miał cech bezpośredniej, dosłownej agitacyjności. Jakże byliśmy nieublagani wobec takich poetów naszej generacji jak Kubiak czy Różewicz. Mieliśmy słuszną pretensję, że za mało pomagają nas w naszych trudach i walce o współczesność. Ale jednocześnie swoją pryncypialnością i sztywnością mimo woli łaliśmy wodę na młyn tych „zaśliznionych wrogów i likwidatorów wszelkiej poezji, którzy z jadowną „Schadenfreude” rej wodzili na sekcjach i w pokątnych, anonimowych recenzjach wydawniczych, tych ekspertów od „rzemiosła”, którzy nigdy nie napisali i nie chcą pisać. Mimo woli podawaliśmy rękę wrośom wszelkiej indywidualnej myśli i wyrazu w sztuce. Tak to i my przyczynialiśmy się do zabijania indywidualności w poezji.

Obstrzał przypuszczony na żywego człowieka stojącego za wierszami, na indywidualność, zapoczątkowany najpierw przez tyśkich talmudystów, a potem doręczony do przodu naszymi nadgorliwymi rękami, owo nieporozumienie dosłowności, zacięło jak kamień na okresie „Wiosny szesściolatki” i poematów biograficznych o wielkich rewolucjonistach, wyciskając z niego żywe soki ze stref, pozabawiając ich własnej, osobistej twarzy. Była to pasza nadmiernie treściwa — makuch. A jednak czy była jakaś inna droga, czy można to tak odrywać od całokształtu literatury? Był to jakiś odpowiednik schematyzmu we współczesnej prozie, były jakieś znamiona tej samej odry. Jeśli dzisiaj nie ma okoliczności, w których wierszy politycznych, to oczywiście nie jest dobrze, ale przypominajmy sobie jak wielu ciekawych kiedyś i bardzo indywidualnie zaczynających poetów w Związku Radzieckim wykonało się na bezosobowych, wstępniakowych urzędówkach. Nauczony doświadczeniem dziesięciolecia ze skutkiem czytam poemat Mandaliana „Plomienie”. Bo przy wszystkich jego zaletach, dobrych i sugestywnych momentach, nieodpartie nasuwa mi się pytanie: co tu od siebie powiedział poeta? Z całą zarliwością mogę dzisiaj powiedzieć — walczymy z bezosobowością w poezji, z urzędowością naszych uczuć. Jeśli była ona, jeśli jest jeszcze, to właśnie wskutek zabicia żywego konkretnego człowieka stojącego za wierszami. Zdaję sobie sprawę, że gorzkie są te uwagi. Ale jednocześnie jestem głęboko przekonany, że właśnie atmosfera braku ambicji, wąski zakres tematyki i ujęć, wyeliminowanie w ogóle z poezji większych form, jak dramat poetycki, wielki poemat satyryczny czy publicystyczny, epika, brak osobistej problematyki człowieka zrodziły bezkonfliktowość, degradację poezji w życiu społecznym, spowodowały to, że nie może ona wyrażać naszego czasu.

Nie bez wpływu tej niesprzeczającej atmosfery próbowałem równocześnie zająć się powieścią jako tym gatunkiem literackim, który ma największe możliwości wyrażania i ukazowania życia współczesnego człowieka, który obdarzony jest największym zainteresowaniem czytelnika, który ma z wielu powodów największą możliwość oddziaływania społecznego. Napisałem powieść o konfliktach i życiu naszego człowieka, o tym co w nim dobre i złe, o tym co może a czego ciągle nie może. Napisałem o sorachach najbardziej mnie obchodzących i najbardziej przeze mnie przeżytych. O tym co już wiem, a czego jeszcze nie wiem i z czym sobie rady dać nie mogę. O tym co mnie boli i czego nie widzę. To był temat książki. Nie została przyjęta ciepło — że by o niej świadczyło gdyby się wszystkim podobała. Ale i nie została przyjęta obojętnie — wprost przeciwnie, wywołała fale niekończących się dyskusji i sporów. To mi dało największe zadośćuczynienie moralne. A więc jednak to są sprawy żywe. A więc jednak i innych to samo boli i cieszy. Nie ma nie bardziej podtrzymującego pisarza niż poczucie solidarności wobec spraw rzeczywistych, prawdziwych. Prawda, zainteresowanie człowiekiem, jakim on jest naprawdę, jak ma żyć, co ma robić, co jest jego winą, a co nie, co jest dobre, a co złe, co to jest szczęście, ciekawość świata, mądrość życia — czyż może być dla mnie coś ważniejszego? Życie, losy ludzkie, sprawy moralne, walka, oto zakres świata i trudu pisarza. Jeśli polecie tych spraw pisarza takie echo, jakże to utwierdza autora, jak spłata z ludźmi, jak dodaje mu siły i odwagi.

Oczywiście zaraz na wstępie pojawiły się tysiące nieporozumień. Akcja toczy się w Stoczni Gdańskiej, a więc powieść o stoczni, a więc produkcyjna. Tak mówili no-

wego typu talmudysty. Inni porównywali ją z powieściami schematycznymi i w wyniku tej konfrontacji stwierdzili, że jest „antyschematyczna”. Nie chcę być posadzonym o brak skromności czy bezkrytycyzmu i nie chodź mi w tym co piszę o żadne wartościowania. Mój Boże, tylko ten, kto widział z jakim biciem serca niesłem ten pierwszy pokreślony maszynopis do wydawnictwa, może być mi świadkiem, Wilczkowi, która widziała jak wysłuchiwałem wszelkich uwag i pretensji, czy redaktor książki, z którym widziałem długie, do dziś nieskończone dyskusje. Zarzucał „Lewantom” duży braków artystycznych; ci mieli rację — książka ma braków sporo. Ale chodzi mi przecież o problemy, o tym chciałbym przede wszystkim podyskutować. Były głosy, że powieść jest „zasadniczym nieporozumieniem”, że jest „antykommunistyczna”. Tak, były takie zdania, wypowiadane przez ludzi z wypiekami na twarzy. Trudno wobec takich zarzutów przechodzić obojętnie.

A więc może najpierw ta stocznia i ta produkcyjność. W każdej książce pisarz ukazuje jakieś środowisko, jakichś bohaterów. Ja próbowałem ukazać naszą klasę robotniczą. Będę pisał powieść o Chinach czy Korei — będę się tam starał ukazać tamtejszych ludzi, jakos o nich zaświadczyć. Wszędzie musi być prawdziwy, rzeczywisty obraz ludzi i czasu. Ale przecież nie będę pisał studiów środowiskowych z pretensjami do wszechstronnej syntezy. W każdej powieści bierze się z opisywanego środowiska to co jest potrzebne dla idei, filozofii książki, fabularnego przebiegu akcji, opisuje się konkretnych ludzi i konkretne środowisko, ale po co o s, dla jakiegoś n a d r z e d n e g o c e l u. Gdyby nie to, można by pisać właśnie tzw. „powieści środowiskowe”, jak to proponował Flaszyn w swym artykule. Niestety. Ja z tej propozycji nie skorzystałem.

Pisarz wiecia się w różne postaci i środowiska, ale zawsze chodzi mu o sprawy wykraczające poza nie. Gdyby nie miał tej umiejętności przeżywania życia różnych ludzi, byłby może co najwyżej reporterem.

Jeśli zaś chodzi o „antyschematyczność”, co przecież w myślach dyskutantów nie oznacza „nieschematyczności”, to mój Boże, czyżby literatura była czymś jak klocek, w których mamy ograniczoną ilość kombinacji? A może by pokonfrontować z życiem? Ba, ale to już może oznaczać NATURALIZM. I tym naturalizmem chciałbym się tu zająć.

Wobec książek współczesnych — nie chodzi tu tylko o moją — pada często zarzut najcięższy: autor pokazał nieprawdziwy obraz Partii, Obraz Partii. Tak. Wielkie to słowo. Widocznie są ludzie, którzy sławia ten obraz, oprawny w złote ramy, zawieszony nad biurkiem. Widać, że są ludzie, którzy mają ten martwy obraz nad biurkiem a nie w sercu. Ci którzy mają do niego martwy, doacynny stosunek, którzy nie widzą go w burzach życia, którzy nie widzą siebie samych jako ludzi z tego obrazu. Powtórzę jeszcze raz: obraz Partii istnieje w książce po co o s, dla jakiegoś celu, potrzebny jest dla idei, dla filozofii książki, dla jej moralnego zadania. I prawdziwa partyjność książki może się kręć w sposobie wypełniania tego zadania. Bo obraz Partii, to nie sceny z życia poszczególnych organizacji partyjnych, to właśnie partyjność całej książki jako całości. Za wielu wypowiedziarni naszych pryncypialistów w krytyce ideologicznej kryję się jakiś wyidealizowany wzorcowy obraz świata, świat taki jaki powinien być. I co będzie jeśli z tym statycznym obrazem zdarza się doświadczyć rzeczywistości, ciekawości i pasja: jak a j e s t? Wtedy potępi się to co najcięższe w literaturze: odwagę i rzetelność, nie zdawkowy stosunek do spraw ludzkich. Miłość człowieka, humanizm, coż to jest u pisarza? Czy oznacza to malowanie ciepłymi kolorami postaci dobrych, miłych ludzi — czy serdeczną troskę, często gorzką i sprawiającą ból jak ręka doktora, doświadczenie i uwagę poświęconą człowiekowi? Czy tylko Czechow był humanistą, a Żeromski nie? Jeden z moich przyjaciół pisarzy opowiadał mi niedawno o następującym swoim doświadczeniu. Napisał do któregoś z pism literackich felieton, w którym zajmował się pewnym złym i chorobliwym zjawiskiem natury moralnej, pewną wstrętną postawą, jaka się wykazywała w naszym życiu, jakiej pozwoliłaby się rozwinąć, tak że stała się ona bardzo charakterystyczna i przynosi nam dużo szkody. Redakcja nie wydrukiwała felietonu. Kiedy autor bronił swego stanowiska i chciał wiedzieć dlaczego felieton nie wydrukowano, odsłano go od Annasa do Kafkasa, wreszcie skierowano do redaktora naczelnego tego pisma. Redaktor był wybitnym, doświadczonym towarzyszem, był dla pisarza tego autorytetem politycznym i ideowym. Szanse w dyskusji były nierówne. Redaktor przekonał pisarza tego na podstawie niezwalczonych argumentów rozumowych, naukowych i teoretycznych, że zjawiska takiego, o którym pisał ow pisarz w swym felietonie, że czegoś takiego nie może być w naszym życiu, że owszem przed rewolucją... Pod koniec rozmowy autor został przekonany. „Ale — jak opowiadał — mój przyjaciel —

kiedy wyszedłem z gabinetu, już na schodach poczułem, że zostałem oszukany. Wytłumaczono mi, że czegoś takiego u nas nie może być, a przecież codziennie widzę własnymi oczyma, że jest t...” Taka rozmowa, jak między owym moim przyjacielem a redaktorem, toczy się często w każdym z nas. Ten dramat rozgrywa się na co dzień. Rozum, niezwalczony argumenty teoretyczne mówią, że czegoś nie może być, a tymczasem oczy, ale doświadczenie życiowe, sumienie i wrażliwe serce pisarza przeczą temu. Krzyczą: — jest. Co ma wtedy robić pisarz? — milczeć? Nie, wierzymy oczom i sercu, choćby to miało nazwać naturalizmem. Tego terminu używa się u nas jako argumentu przeciwko wszystkiemu, co się sprzeciwia oficjalnej wersji świata.

Skąd to odrodzenie się idealizmu w pseudomarksistowskiej postaci? Z tęsknoty do upraszczania, z przerwotu teoretycznej spekulacji nad żmudną może i uciążliwą, a przy tym dużo trudniejszą koniecznością ciągłego konfrontowania wyników myślenia z życiem, z naczelnym kryterium praktyki. Nie upraszczajmy zagadnień trudnych i bolesnych, bo może wtedy rzeczywiste nie pocieszymy tak jak byśmy chcieli czytelnika, ale też nie zarzuci nam, żeśmy mu nic nie powiedzieli.

Wiktor Woroszyński bardzo trafnie wskazał w swym przemówieniu na Zjeździe literatów, na przykładzie „Obywateli” Kazimierza Brandysa pewne niebezpieczeństwo upraszczania i łatwego tłumaczenia ujemnych i trudnych zjawisk naszego życia. Chodzi o tego Łękotę, który jest moralnie spaczony, a jednocześnie bardzo typowy dla wielu ludzi w naszym kraju. Brandys wytłumaczył to najłatwiej: Łękota ma powiązania z podziemiem. Ciekaw jestem, czy każdego obarczonego tymi wykrywaniami redaktora czy działacza, których przecież widział w życiu, nie wymyślił, i z którym każdy z nas również styka się często, Brandys podejrzewa o te same powiązania?

Czytałem niedawno wstrząsającą książkę Alberta Kahna „Zabawa w śmierć”, ukazującą deprawację amerykańskich dzieci spowodowaną historią wojenną w St. Zjednoczonych. Fakty są straszliwe. Ale zaraz pomyślałem sobie: no tak, to wszystko okropne, ale to się przecież kiedyś skończy, musi się skończyć, tak jak skończyć się musi faszyzm, i w Ameryce nastanie wtedy inna epoka. Wszelka tragiczna beznadziejność odbiera całej sprawie świadomość, że to określony historyczny okres. Mamu do tego dystans i uzasadnienie. To nas uspokaja. Zle jest, no bo faszyzm, wiadomo dla całego. Przetrzyli starego, faszyzm, wytłumaczono — ale jak wytłumaczyć zło, które pojawia się u nas? A przecież uczylimy się dialektyki, w każdym okresie rodzą się nowe sprzeczności, scierają się sprzeczne siły, z których jedna jest postępową a drugą już wstępną czyli w kategoriach moralnych zła. Rodzą się nowe sprzeczności, rodzą się nowe wady. Po co szukać najłatwiejszych wytłumaczeń, które nie tłumaczą. O tym zdają się zapominać u nas niektórzy ludzie, w krytyce i w twórczości literackiej. Jeśli w dyskusjach naszych na zjazdach i sesjach szukano przyczyn słabości naszej literatury w zjawiskach administracji, zrzucono winę na złych redaktorów i kolegów, na poprawiaczy, jednym słowem, na okoliczności zewnętrzne, to zdaje mi się, że ślizgaliśmy się tylko po powierzchni zagadnień. Prawdziwie, decydujące przyczyny tej słabości tkwią w nas, w pisarzach, i my jesteśmy za nie odpowiedzialni. Istnieje u nas zjawisko, które można nazwać „cenzurą wewnętrzną” pisarza. Często siedząc nad książką, już w trakcie pisania, kiedy stworzyliśmy postacie i ich losy, kiedy zaczynają one żyć, porywa nas jakaś postać, zaczynamy pasjonować się nią, docierają do jej motywów postępowania, pogłębiają ją. Jeszcze nie powiedzieliśmy całej prawdy, jeszcze chciałoby się drążyć głębiej — i w pewnym momencie uświadamiamy sobie, że stop. Zaczynamy obawiać się, że to co najcięższe, najbardziej pasjonujące, najprawdziwsze, to jakości które będzie z ogólną koncepcją książki, jaką przemysłiliśmy sobie i jaką mieliśmy ogólnie zaplanowaną przed przystąpieniem do pisania. Jakoś zatrzymałyby się proporcje, ogólny zaplanowany wydźwięk i klimat książki. Miała to przecież być powieść współczesna, ukazująca rzeczywistość określonego czasu w jej typowych i kluczowych konfliktach. I jakoś sam siebie dławie — nie powiem całej prawdy, bo to sprzeczne z moją teoretyczną koncepcją realizmu. I tak wychodzą sprawy połowicznie, ledwo naskazitowane, podciągane do teoretycznych założeń. Skąd ta jednoznaczność, płaskość, szkieletowość naszych książek. W dyskusji wewnętrznej teoria i koncepcja zwyciężyła nad wrażliwością moralną i zainteresowaniem dla człowieka.

A przecież w naszych czasach jakże beznadzi są ludzie wobec problemów moralnych, jak bląkają się, nie wiedzą jak postąpić w najbardziej elementarnych sprawach! Przyszedł krach pewnej moralności i obyczajowości, takiej czy innej, ale istniejącej i obowiązującej przez lata. W podstawowych sprawach ludzie wiedzieli jak postąpić, albo

(Dokończenie na str. 6)

WYBORY

Przepełniony byłem młodzieńczą radością. Potknąłem się o wyrwę w cementowej posadzce. Czarną norę korytarza ledwo rozwidniała żarówka w truciannym kagańcu. Z drzwi na wprost niósł się rodzinny warunek maszyn do szycia. Z przekorą zapukałem, choć tu nie robiłem tego nigdy. Otworzyłem, nim usłyszałem głos. Zrzuciłem swój skapy worek marynarski. Ojciec przyszywał guzik, odwrócił głowę i wymówił:

— No, żyje jeszcze. Te słowa były tylko dla mnie. Zawsze mnie tak witał, kiedy wracałem z wódcą.

Siostra, mimo że była odwrócona plecami, ucieśnie pisała moje imię, zerwała się z krzesła i rzuciła na mnie. Po ucałowaniach uspokoił się, nie cackaliśmy się nigdy, nie mówili o kołach, było ono w nas tak po prostu, jak było w nas życie. Siostra podkreślała naciąg, staruszek zganił ją, że szkło pęknie. Zaśmialiśmy się, chodźło mu przeciwieństwo. Pierwszy raz w życiu miałem przyszywane ubranie, Siostra, pokrzykiwała:

— Ale opalony! A na twarzy nic się nie zmieniło! Odrzucę ci zalewajki.

— Czekał, wrzucił do niej kielbasę — dałem jej pieniądze.

Kiedy wychlipaliśmy barszcz i wzięliśmy się do kielbasy, jedliśmy powoli, smakując ją. Była zawsze dla nas wprost nieosiągalnym przysmakiem. Staruszek pokłonił głową:

— Po co tu przyjechał, na tą bide.

Nic mu nie odpowiedziałem. Jego miłość była wprost niepojęta. Mógłby mnie już nie oglądać, wystarczyła mu pewność, że jest mi do brzozy że mam co jeść, że uszedłem z głodem, jaka mnie tu czekała. Wpatrywał się we mnie; małe, bułe ręce oczyjaśniały mu ciepłą radością, chwilami czytałam w nich dumę, że jego marionetki jeszcze się nie wykołubiły zupełnie. Bywało, że się mnie wyrzekł, byłem jego przeciwnikiem. Zbuntowałem się przeciw Bogu, nie szanowałem urzędów, miałem pogardę dla wszystkich ludzi na stanowiskach. Bogato ubrani byli dla mnie nędznymi drania. Od ojca wziąłem jego chłopską rzetelność i uczciwość, wiedział o tym, i tylko to nas łączyło. Ale i tu różnił się. Ojciec, mimo że analfabeta, miał w sobie coś z tolstojowszczyzny. Tolstoj znajdował wyjście w uczuciu, ojciec w Bogu. Różniłem się od obu, dla dobrych ludzi miałem całą gorącość serca, dla złych byłem nieprzejednany jak szerszeń.

Nic się nie zmieniło — odezwała się siostra. — Krzyż mnie boli od dzwigania tobołów z bielizną. Szyję dwadzieścia godzin. Patrz — wyciągnęła dłoń z pokrzywionymi od maszyn palcami — i nie starczy. Ojciec chodził jak dziać z mydłem i drobniagami po wszech.

O, głupia! — obruszył się ojciec — przebie to handel. Złe, jak przyniosę trochę jaj, sera, czasem osiekę masła...

Znowu zaśmialiśmy się.

Zauważyłem, że siostra była bardzo bledziutka i mizerna, ojciec już schnął starczy. Spałem z nim. Leżąc w łóżkach długośmy rozmawiali. Opowiadałem, jak ostatniego roku nie przyjechałem na urlop, nie miałem na kole, zresztą nie chciałem ich obijać. Po wyjściu z Marynarki Wojennej, nie mogąc się dostać do handlowej, pojechałem koleją na gapę do Konstancji w Rumunię i tam zamustrowałem na „Polonię”. Długo musiałem im opowiadać o obcych krajach i ludziach.

Po południu poszedłem oglądać swoje peryferie. Dwupiętrowa kamienica, w której się wychowałem, jakoś mi zmalowała, jakby się zapadła. Podwóreczko było przepelnione odorem z ustępu, do którego ludzie chodzili w kolejce. Na Sanoczek, jak zawsze, w rynsztokach płynęła cuchnąca maź pomyj. Krótka była uliczka zamarła. Na Sosie Pabianickiej ludzie wystawali w bramach, młeli rozrywkę przyglądając się jadącym wozom i samochodom. Z Krakusa, Sokola, Smoczej i Myśliwskiej wyzierała rozpacz; wszędzie nieprzebyte błoto, bryłki nietynkowanych domków, drewniane, krzywe budy. Często spotykałem znajomych, niektórzy już mnie nie poznawali, z niektórymi przystawiałem w rozmowie jakżeśmy się dobrze rozumieli. Znałem tu prawie wszystkich ludzi, chudych, o mizernych twarzach — znałem prawie każdy kamień. Wybliznęli daleko od siebie oddalone lampy, zaczęły padać zimny, jesienny deszcz. Zalewało mnie gorąco, to znowu zimno, pot, radość i bunt. Przecież o tej brzydocie marzyłem pod upalnym słońcem ciepłych mórz, musiałem tu wrócić. Jakże czarno tu było. Kiedyś myśleliśmy o barykadach. Po nocach marzyliśmy o rewolucji, o ostatnim naszym rozrachunku, w którym wszystko niewątpliwie zdruzgocemy, zrzucimy z siebie hańbiący los. Teraz wiem, dlaczego musiałem wrócić. W tych zaułkach raz na zawsze uformował się mój stosunek do ludzi, życia i świata. Podniecony wróciłem do domu.

Po kilku dniach już wszyscy moi koledzy wiedzieli, że znowu jestem. Zebraliśmy się wieczorem u Fontnera mieszkającego przy Krótkiej. Złoty on z Żydówką Czeską, kiedyś łączniczką naszych komórek kasetemowskich. Kochali się, traktowali ich jak małżeństwo. Ona miała, okragława i czarna, o ładnej mądrej twarzy; on wysoki, barczysty blondyn, bardzo chłopięcy. Przyszedł Lolek Charlak, związy jak pęk, największy z nas spryciarz, Czesiek Polka zawsze śmiejący się i Józek Socik, na którego wolał się Siwek. Jako najbogatszy częstowałem ich machorkowymi papierosami i musiałem opowiadać o świecie. Jak gdybyśmy chcieli się pochwalić, mówiliśmy o przepięknych wioskach, o palmach, wielkich miastach, okrętach pasażerskich i pięknych dziewczynach. Twarze ich dziwnie poweselały, aż Polka mało się nie zakrztusił śmiechem. I wybuchnął:

— To tam ino żyć, socjalizm niepotrzebny.

Obruszyłem się, że nie ma racji, że i tam jest nędza jak u nas. W Konstancji w kilku knajpach grają cygańskie zespoły dla bityczących bogactwem burżuów, a tłum jest bosy i obszarpany. W Konstancjopolu robotnicy i tragarze pracują ciężko od ośmów. W Pireusie zawsze przed kuchnią statkowi wystaje kolejka głodnych, a w Atenach są najbardziej luksusowe na świecie sklepy i samochody. W Hajfie Arabi zbierają odpadki z kupy śmieci przed kuchnią, a niektórzy żyją w pałacach, otoczeni służbą jak niewolnikami.

— Myśleliśmy, że byłeś ślepy na to — wturcił Fontner.

— I po coś przyjechał, przecież marynarze są dobrze płatni — odezwała się Czeska.

— No, musiałem, jestem ciekawy co u was.

— U nas już nie nie ma, ani KZM-u ani Partii — mówił wolno Siwek. — Dużo wpadło najlepszych ludzi.

— A co z Filipakiem i Władką?

— Siedzą, Władka nieprędko wyjdzie, była dla nich niebezpieczna.

— Władka! — wykrzyknąłem. — Pamiętacie, jak dawaliśmy jej bajową chustkę i szła z nami na masówkę pod fabrykę, wesoło jak na zabawę.

Twarze ścieły się nam w bólu. Była niezwykle mądra i przy tym ładna, lubiliśmy ją najbardziej, kochał się wprost: opiekowała się z Partii całą naszą dzielnicą.

— A wy co robicie? — wybuchnąłem z wyrzutem.

Twarze zaczęły się mijać ze wstydu.

— Cóż my — Polka rozłożył dłoń — gadamy i gadamy. Czeska przyniosła od Żydów kilka kłasek niemieckich, czyta i tłumaczy nam o ekonomii, walce klas, ustroju socjalistycznym. Co, czekamy.

— A endek! rozbijają się — zaśmiał się Siwek.

— Co rozbijają — głos podniósł Fontner. — Idą całą hurmą, na całego.

— Kto im się przeciwstawi, Partii nie ma — zaczął się Lolek.

— No, już ty ich tam czasami pogłysz — zaśmiał się Polka. — Pogonił fryzjerów, Jablonkę, czasami któregoś obie...

— A co, m-m ich gaskać! — wybuchnął Lolek.

Zaśmialiśmy się beznadziejnie.

Długo opowiadali o swoim życiu, ciężkim aż gęli się pod nim. I nie było w nim walki jak kiedyś, dlatego dziwił się, że wróciłem. Rozeszliśmy się w przynębie.

W naszej dzielnicy nic się nie zmieniło, a raczej zmieniło się na gorsze. Kiedyś, niektórych naszych kolegów-lumpów wciągnięliśmy do ruchu, było to dla nich żelazne karby; też, kiedy byliśmy w rozrywce, znów kradli. Sito i Stasek jak poprzednio kilka razy w tygodniu onróżniali furgony piekarskie i reżnierz. Działo się to w oczach wszystkich, czekające w bramach baby płaciły im pół ceny.

Kiedyś natknąłem się na Swendraka, wrócił z letniej rajzy na zimowe leże ze swoją bandą grai-carów. Poszedłem do niego. Siedzieli tu już przysiężnicy Franc, harmonista Walek i czarny gitarzysta, którego przyciągnęli gdzieś z kraju. Franc nie rozstał się ze swoim banio, głębokim barytonem śpiewał nastrojowo piosenki złodziejskie, nasze peryferie, niektóre według ich własnych słów i z melodiami Swendraka, pleprze, harde i wstępne. Dławiły smutkiem, to znowu żarzały wierszami radością, zapomniał w tedy o wszystkim. Kiedy wychodziłem od nich, na korytarzu stała gromada ludzi, inni słuchali przy oknie tego swobodnego koncertu. Przypomniał mi się Marszał — mimo że lubiliśmy go, nie uznawaliśmy za swojego. W wierszach swoich pisał smutnie o uroczych dachach, marzył o idealnej miłości, uciekał od naszych zaułków, od nas.

Myslałem o wyjeździe, nie żałowałem jednak, że przyjechałem. Podświadomość szentowała mi, że teraz zagubię się gdzieś na najdłuższych krańcach świata. Przed tym długim oderwaniem się musiałem nasiąknąć rodziną, przyjaciółmi, moimi nędznymi zaułkami. Była tu zawsze bieda, ale takiej bierności chyba nigdy nie było. Dowiedziałem się, że Janica zastrzelił nasi kłopsi, w rzeczy granicznej na Białorusi.

Na płotach i murach zjawiało się coraz więcej afiszy wyzywających do wyborów do magistratu. Ludzie czytali je bez podniecenia, kiwali głowami i szli dalej, nie wierzyli w nie nigdy. Wszystko to było kłamstwo.

Coraz częściej spotykałem endeków. Pikielowali stragany żydowskie na rynku, sklepy na Górniaku, byli tak nieczemni, że bili nawet szmaciarzy. Przeciągali w wyjątkach falangach przez ulice. Omijali jednak nasze zaułki, które kiedyś przeorał konspiracją kasetemowską, do nas nawet nie próbowali się dobierać. Tylko Partia mogłaby im się przeciwstawić, bez niej wszelki ruch skazywał na niepowodzenie. Spotkałem Lolka, opowiedział mi o tym wszystkim, postanowił zebrać się u mnie.

Znowu byliśmy w czterech. Ojciec usiadł na brzęku łożka, siostra wyciągnęła wszystkie graty, na których można było usiąść. Z miejsca weszliśmy w przyciszoną, ale zapaloną dyskusję. Na domowników moich nie zwracaliśmy uwagi. Kiedyś przeciw słowu moja pisała kredką plakaty i przyrządzała gęstw barszcz. Pamiętam, raz ojciec odezwał się do mnie: „Ksiądz mówi, że tacy jak wy, to buntujecie się przeciw Bogu i rzadowi, a ja się będę musiał spowiadać”. „Och, tylko nie mów tego księdzu, bo nas wyda” — odpowiedziałem. Kiedyś mówił mi pięściami, zawołałem: „Muszę robić to co robie, bo inaczej zostanie bandytą”. Do rodzin naszych mieliśmy zupełne zaufanie. Pamiętam, jak niektórzy matki płakały, że czeka nas wienie, ale i miały cichą dumę, że śmiemy nas podejmować walkę z taką niepojętą siłą jak rząd.

Mówiliśmy o wszystkich świętstwach endeków, którzy jak plaga chcieli zalać Łódź.

Głosowanie nie ma żadnego sensu, robotnicy powinni je zbojkotować.

— To pomoże jeszcze endekom, bo oni pójdą — wturcił Lolek.

— Z dwójką złego zostało nam PPS.

Zaśmiali się i obrócili na mnie cierpkie spojrzenie.

Nie bierzcie mnie za zwolennika, góra jest zła, ale w dółach są nasi towarzysze. Tylko PPS może przeciwstawić się endekom.

— To idź im pomóc — wymówił nienawistnie Polka.

— Myślę, że powinniśmy wszyscy.

O, ale nie ja. Kto łamał strajki, kto wydawał najlepszych towarzyszy? Z ugodywami, ze zdradkami...

Ty żeś się rozindyczył i nie możesz myśleć — zbieł go Lolek. — Przecież naszym siedzeniem pomagamy endekom. Musimy pomóc pepesiakom.

— Ja też tak myślę — wymówił Fontner i po nim Siwek.

— Ja tak nie myślę, ale idę z wami — sierdził się Polka.

Wieczorem poszliśmy do PPS na Zarzewską. Salka była zapchana ludźmi. Mówcy ciągle nawracali do endeków. Potem stary robotnicarz mówił o akcji propagandowej, o Rzgowskiej głównej ulicy na południowych peryferiach, którą endecy objęli we władanie. Lolek przedarł się do niego i stanął na podium.

Jest tu nas kilku z tej dzielnicy — szysaliśmy jego nieśmiały głos. — Jutro wyklemy wam całą Rzgowską. Mogą endecy przyjeść nas pobie.

Słuchający zahuceli radośnie i dali mu spontaniczne oklaski, jak żadnemu z mówców. W tym niktym pomieszczeniu była cząstka czerwonej Łódzi.

Kiedy Lolek przepchnął się do nas, Polka zachichotał:

Po co tak otwierać, mogą nam jeszcze wsunąć, jak się dowiedzą.

Niech spróbują — odpowiedział spokojnie Lolek, ale piegi poczerwieniły mu jak tygrysie centki.

Idąc do domu uradziliśmy wszystko. Z naszych peryferii mogliśmy poderwać stu ludzi, Lolek nie chciał się na to zgodzić. Endecy przestraszyli się i uciekli. Zgodziliśmy się. Nie karał ich ani rząd, ani policja, my chcieliśmy ich pokarać. Postanowiliśmy nie brać z sobą tych, którzy kradną, chociaż chętnie by z nami poszli.

Od samego rana biegaliśmy po ulicach, domach, byliśmy u strycharzy, u robotników kanalizacyjnych. Większość jednak stanowili bezrobotni.

O siódmej wieczór zebraliśmy się przed domem Lolka, było nas szesnastu. Rozczłonkowani po dwóch, trzech poszliśmy do pepesiaków na Zarzewską. Wzięliśmy od nich dwa ciężkie narecza plakatów, ulotki, pedzle i kubły z barszczem. Było nam bardzo wesoło, niektórzy cicho nuciłi rewolucyjne melodie, pepesiackich nie lubiliśmy. Pierwszy plakat nakleiliśmy naprzeciw kina „Record”, przy pedzlach byli najwyżsi z nas. Hasła o grubych literach kleiliśmy na wysokość pierwszych pięter, by ich nikt nie mógł zdebrać. Wesoło szła robota, endeków jakoś nie było widać. Kiedy już przeszliśmy pół ulicy i zabieraliśmy się do klejenia za rogiem Popręcznej, ujrzelśmy zbliżającą się do nas bandę wcale nie mniejszą od naszej. Zaczeliśmy się wesoło śmiać i podrywać. Podeszli do nas blisko i przyglądali nam się spod łba, wrogo, bez żadnych słów. Klejając obok naszego plakatu. Zaczynamy cztwać.

Bracia endecy — zachichotał Polka.

Jacy tam bracia dla żydowskich pacholców — odezwał się głos.

A, więc nie lubicie pepesiaków! My ich też nie kochamy.

Klejcie swoje i my swoje.

Po bratersku — wykrzyknął Polka.

Choć była w tym ironia, zapiekło mnie ogniem. Mieliśmy się już rozchodzić. O dwa metry ode mnie stał drab z pedzlem; przed nim, kubał.

Ładnie bratamy się z faszyzami — zwołałem szybko i kopnąłem kubał.

Kiedy barszcz oblewał draba, trzymałem go przy pedzlu. Została mi połówka, ten podał już plecy, przeciągnąłem go.

Lolek już tańczył i za nim inni. Endecy uskowili na jezdnię. Jeszcze raz doskoczyli do nich, wtedy pierzchli, słychać było brzęk rur o kamienie. Puściliśmy się za nimi, by im napędzić strachu. Po kilku minutach wróciliśmy — Lolek, Polka i niektórzy ze zdobczonymi rurami. Ich plakatami wytapetowaliśmy chodnik. Robotnicy idący z wieczorowej zmiany śmiali się. Jakis staruszek wołał:

Dobrze im tak, ta szarańcza już się nie boi nikogo. Zdawało się, że już dla nich nie ma kary.

Kleiliśmy dalej. Robota szła teraz składnie, mieliśmy cztery pedzle. Wiedzieliśmy, że to dopiero mogło się zacząć. W tym czasie endecy panoszyli się jak im się żywnie podobło. Wzbrała w nas nienawiść za długie czasy naszej bierności. Szliśmy dalej pracowicie, tylko przedem puściliśmy jednego z nas, drugiego zostawiliśmy w tyle i trzeciego no drugiej stronie ulicy. Kiedy zbliżaliśmy się do kolei, szybko podeszli do nas chłopak z przodu.

Znowu są — mówił spokojnie. — Dwa razy taka paka jak przedtem i też kleja. Na pewno ci co uciekli połączą się z drugą grupą. Są bardzo pewni.

Strzcharze, ci chłopcy od szpadli, zaczęli rozbierać rzadki plot z drewna.

nianych kantówek. Niosący plakaty położyli je w suchej niszy sklepu. Szliśmy bez słów, ale już otwarcie. Zobaczyliśmy ich pod samą latarnią. Kiedy byliśmy od nich o jakie dziesięć metrów, skoczyliśmy biegiem. Znowu nie wytrzymali nerwowo i pierzchli we wszystkie strony. Znowu tapetowaliśmy chodnik.

Wracaliśmy i kleili drugą stronę ulicy. Zaczął mżyć deszcz, aż się rozpadła na dobre. Przemokliśmy, ale było nam gorąco. Jeszcze z poprzecznych ulic od strony pół wykrzykiwali endecy ku nam wyzwiska, rzucali kamieniami. Śmialiśmy się z tego, strach poraził ich zupełnie. Plakaty się nam skończyły.

Kiedy przyszlismy na Zarzewską, pełno tu już było robotników, którzy wylepiali inne mniejsze ulice. Dziwili się, skąd mamy tyle kubłów i pedzli. Kobiety częstowały nas gorzką kawą, która przyniosła tace z chlebem posmarowanym marmeladą.

Jedziecie! — wołała. — Wam się słuszenie należy, nie darmo.

No, no, to żeście im dali — mówili robotnicy. — To przecież niemożliwe, by endek tak się panoszyli w naszej Łodzi.

A wy skąd? — pytali niektórzy.

My stąd — odpowiadaliśmy.

Jakis stary robotnicarz podszedł do Polki i Fontnera.

Ja was znam z akcji jednolito-frontowej — wymówił cicho. — Ale wtedy byliście jeszcze młokosy.

Sz-sz, nikomu o tym, wujku — szepnął Polka.

Tu wszyscy tacy jak i wy, tylko góra nasza parszywa.

Był to nasz najserdeczniejszy wieczór u pepesiaków. Śpiewaliśmy jeszcze ich pieśni, aż rozeszliśmy się.

W ciągu następnych dni rozeszła się wieść, że endecy zmykali jak zające, że wymieciono ich z całej Rzgowskiej — i kto to zrobił: pepesiacy.

W niedzielę przy tej samej Rzgowskiej, kiedy ludzie wychodzili z kościoła, endecy urządzili w pobliżu agitację. Przypadkowo przechodząc jeden z nas, Kaleta. Był tam endecy z pamiętnego wieczoru, chcieli go obić. Kiedy to im się nie udało i sami brali po łbie, synalek sklepikarza zastrzelił go. Mieliśmy szybko uciekać, ci sami ludzie idący z kościoła rozdobyli ich żywcem. Agitacja im się nie udała. Kaciele zrobili demonstracyjny pożreb. W wyborach na południowych krańcach Łódzi endecy nie przeszli.

Jan Papuga

O przestępczości wśród młodzieży

(Dokończenie ze str. 2)

wia w Zielonej Górze, kazała mu się zgłosić na milicję, co też uczynił. Chłopiec ojca nie ma, zginął w r. 1939. Dyrektor zakładu poprawczego jest o nim jak najlepszego zdania: „Sprawuje się pierwszorzędnie. Uczy się dobrze, złoży egzamin do drugiej klasy szkoły metalowej. W akcji żniwnej wyróżnił się ofiarną pracą. Należy do ZMP”.

Dyrektor zakładu zwrócił się do sądu w Zielonej Górze z wnioskiem o zwolnienie. Nadeszła odpowiedź następującej treści: „Ze względu na rodzaj przestępstwa, jeszcze zwiniony być nie może”.

Dwa lata nienaganego pobytu i pracy w Domu Poprawczym wydała się bezdusznym sędziom zbyt krótkim okresem za nieostrożność 15-letniego chłopca. Bo żadnych podobiek osobistych, a tym bardziej politycznych w spowodowanym porażce nawet sędziom dla nieletnich w Zielonej Górze nie udało się udowodnić.

A więc notoryczni złodzieje, zdeprawowani do szpiku kości chuligani i chuliganicy, rozsiewający bakcyle zginiłizny wokół siebie, znajdując się w takich samych warunkach i siedząc zasadniczo nie dłuższy niż młodzież winna braku czujności, ostrożności, jak widzieliśmy to na przykładach niefortunnych „mankowiczek”, albo w wypadku „falszerzy” dokumentów i „podpalcarzy”.

Wniosek: trzeba by nasza Temi-

da zrzuciła opaskę z oczu, by prócz paragrafu widziała młodego człowieka.

SKUTKI OPIESZAŁOŚCI

Gdy słusznie i z oburzeniem mówimy o placze chuliganstwa wśród młodzieży, jak również o wrogiej robocie, którą świadomie czy nieświadomie wykonuje, zapominamy, że chuligan takim się nie urodził, że się chuliganem stał i że proces stawiania się trwał dość długo. Dom Poprawczy jest już właściwie finałem długiego dramatu, w którym większość „bohaterów” kilka razy była gościem na posterunku, w Izbie zatrzymań, a nawet miała za sobą procesy z wyrokiem zaawieszenia kary. Wskazuje to, że nie umielimy w tych wypadkach oddziaływać wychowawczo.

Niemal jednocześnie ze mną weszła do gabinetu dyrektora Domu Poprawczego w Oryszewie 15-letnia C. M. i prosiła dyrektora o umieszczenie jej w Domu Poprawczym. Zdziwiłem się: — Jak to? A czy nie znajduje się w Domu Poprawczym?

— Nie — padła odpowiedź. — Na razie przebywa w Schronisku i czeka na przyjęcie do Domu Wychowawczego.

— A jak długo trwa to „na razie”?

— Ośmiem miesięcy — padła odpowiedź i wyjaśnienie — mamy sporo dziewcząt siedzących w Schro-

nisku dłużej niż 10 miesięcy... I to bardzo krzywdzi dziewczęta, bo przebywają razem z dziewczynkami — recydywistkami i dopiero tu dowiadują się o prawdziwych wyrokach.

— A dlaczego Dom Wychowawczy dzieci nie przyjmują?

— Im się nie śpieszy, a zmuszać ich do operatywności nie możemy, bo nie należą do resortu Ministerstwa Sprawiedliwości, tylko do Ministerstwa Oświaty. I wszystko zależy od dobrej woli, od operatywności Wydziału Oświaty Powiatowych Rad Narodowych.

Jak się niebawem przekonalem, w schroniskach siedzi bardzo wiele chłopców i dziewcząt, czekających na szczęśliwą chwilę, gdy Wydział Oświaty PRN zechce się energicznie zająć umieszczeniem ich w Domu Wychowawczym. A taki szczęśliwy moment zdarza się raz, a w najlepszym wypadku dwa razy do roku.

— A co to są za dzieci? Jak są kwalifikowane do Domów Wychowawczych?

Okazuje się, że są to dzieci, które dokonały drobnych przestępstw albo zostały odebrane rodzicom z powodu rozkładu moralnego. I oto dzieci te siedzą po 6 i 8 miesięcy w Schronisku, wśród młodzieży starszej, zakwalifikowanej do Domów Poprawczych, bo mającej już ponad jedno czy dwa wyrocznienia, albo czekającej na drugą czy trzecią rozprawę. A w ciągu tak długiego pobytu dowiadują się o „dowodzonych”, czasami gruntośnie zdeprawowanych, o bardzo wielu „ciekawych” rzeczach. „Skorupka” takiego chłopca — lub dziewczynki — który próbował, na razie nie-

udolnie, kraść, nie jest zbyt twardo, przesączalność zła jest dość łatwa, i właśnie tu, w Schronisku, nasłania ona dopiero wielką, przestępczą wiedzę...

Wróćmy do tej dziewczynki. Jako sierota znajdowała się w Domu Dziecka (na Grodzkiej) w Radomiu. Wyzywnienie, jak oświadcza, było cłe, było tam także brudno. Nie chciała tam być. Ucieczki z Domów Dziecka nie należało do rzadkości. Uciekla ona i przyjechała do rodzinnej wsi, do chrześnej, trudniącej się krawiectwem. Była u niej. Zaglądał do nich pracodawca z sąsiedniego miasteczka i one do niego. Jakie stosunki ich łączyły — nie wiem. Wiem tylko, że będąc u niego, wyjęła mu z kieszeni 200 zł. Ruchło kradzież się ujawniła. Przyznała się i oddała te dwieście złotych. Poszkodowany zaskarżył ją do sądu. Zatrzymano ją, po czym sąd orzekł umieszczenie jej w Domu Wychowawczym. I otóż teraz siedzi w oczekiwaniu na ten Dom Wychowawczy osiem miesięcy. Powinno w dziewczynce tej się jeszcze jakaś odporność moralna, lubi pracować, rozumie ona, że przebywanie w Schronisku tylko jej szkodzi, chce być przynajmniej w Domu Poprawczym, gdzie mogłaby się uczyć fachu, krawiectw...

Zapytałem dyrektorkę, czy może zadośćuczynić jej prośbie.

— Jakim sposobem? — padła odpowiedź. — Nawet dziewcząt z Wyrokiem skazującym na Dom Poprawczy nie wolno mi przemieścić, dopóki nie nadejdzie oficjalny papier, a to trwa.

Młodzież za długo siedzi w Schronisku, które właściwie powinno być tylko miejscem etapowym.

Przecież czas przebywania w Schronisku nie zalicza się na poczet kary. Nasuwa się więc pytanie: czy nie czas „uczerpywać”? Wydział Oświaty, których obowiązkiem jest przyjmować dzieci zakwalifikowane przez sądy do Domów Wychowawczych? Czy nie czas „uoperatywnić” sędziów, by młodzież nie czekała miesiącami na rozprawę sądową, a czasem tylko na przysłanie pisma wskazującego, gdzie, do jakiego zakładu winowajca powinien być skierowany?

Wspomniałem o młodzieży zepsutej, takiej która mało rokuje nadziei na poprawę. Cóż to za młodzież? Czy rzeczywiście skłonność do przestępstwa jest u niej wrodzona? Nie. Metody oddziaływania na nią były opaczne, bo zawczasu nie odgrodzono jej od deprawującego domu, środowiska. A teraz kwalifikuje się ona już do metod bardziej stanowczych niż praktykowane w Domach Poprawczych.

Komitety Blokowe, sąsiedzi powinni uważać za swój święty obowiązek baczną obserwację zachowania się młodzieży własnego bloku, podwórka, powinni żywo reagować na każdy fakt rozkładu w domu sąsiedzkim, jeżeli w tej rodzinie są w dodatku dzieci. W tramwaju byłem raz świadkiem opowiadania młodzieńca, jak jedna, starsza już chyba kobieta, bo — jak wynikało z relacji — miała 9-letniego syna, przyjmowała opowiadającego wraz z kolegami, a syn — „cwaniak” udawał spięcego...

Czy o takich chuliganach nie wiedzą współlokatorzy? Wiedza. I pierwszym ich obowiązkiem jest wszcząć starania, by dziecko takie odizolować od wyrodnej, rozpustnej

matki. Czy praktykuje się u nas takie postępowanie? Owszem. Ale przeważnie wtedy, gdy dziecko zdradza już objawy gnucia moralnego.

Jedną z łódzkich sędziów uważała na przykład za możliwe odpowiedzieć na zapytanie, dlaczego nie zabiera dziecka z domu nie gwarantującego opieki — dlaczego dziecko to znowu oddano pod „opiekę” rodziców, aczkolwiek ma już ono za sobą 17 drobnych wyrocznień: „Cóż pan chce. Mam już takie, które mają po 50 przekroczeń.” A więc nie ma się czego śpieszyć, bo jak wiadomo, co 50, to nie 17...

Gdy takie dziecko odbiera się wreszcie rodzicom, jest ono tak zepsute, że Dom Wychowawczy nie jest już dla niego właściwym miejscem. Rzadko kiedy dziecko takie utrzyma się długo w Domu Wychowawczym i prostą drogą wędruje do poprawczaka. A jeżeli i tu nie ma

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Wakacje pana Hulota

Jakto, mówią jedni, więc tobie się podoba ta nudna bezdura, te „Wakacje pana Hulota”? — Jakto, dziwią się drudzy, więc ty nie widzisz w tym filmie tysiącznych uroków, aluzji i nudańskich, które sprawią, że dwugodzinny seans staje się uspaniałym przeżyciem artystycznym?

Takie oto spory toczą się w Warszawie. Nie chcę być w nich mediatorem. Niesposób podjąć się tej roli po tym wszystkim, co powiedziałem dotychczas. Powiem po prostu: nie tylko nie podejmę się godzenia dwóch stron, ale nawet nie zamierzam, bo nie potrafię, zadowolić tych, którym film się nie podoba.

Jest to dziwna opowieść, dla której punktem wyjścia jest odrzucenie tradycyjnego pojęcia opowieści, rozwijającej się od początku i prowadzącej do zamknięcia jakiejś sprawy. Akcja tak pojęta wymaga bowiem decyzji działania w występach na ekranie postaci. Natomiast na wakacje, i to dość specyficzne, charakterystyczne dla kultury mieszczańskiej, wakacje jakie widzimy na filmie, ludzie przyjeżdżają z jedną tylko decyzją, — żeby nic nie robić, żeby nie działać. Celowo wyłącza wszystkie prądy, które kierują ich normalnym życiem i na te ich postawy jedynie postać filmu, która ciągle pozostaje w kontakcie ze swymi normalnymi zajęciami, postać kupca, wygląda uprząż śmieśnię. Odcieci od zwykłego trybu życia, wolni od jakichś szczególnych planów wakacyjnych, takich, jakie układają sobie często nasi turyści — np. przepłynąć wpław jezioro Śniardwy czy też wejść na Giewont — bohaterowie filmu wydani zostają całkowicie na pastwę swoich przyzwyczajonych i odruchów, które przez cały rok pracy tuszowane są nieco przez nurt powszednich zajęć. Tak więc młody człowiek, który w życiu jest zapewne studentem, teraz może całkowicie oddać się gimnastyce, która uprawia bez przerwy; młodzieńiec reprezentujący typ zacietrzewionego politykiera nie odrywa oczu od gazety i na gwałt szuka dyskusantów; emerytowany wojskowy w kółko opowiada o swoich wojennych przeżyciach; para starszych państwa odbywa nieustannie powolny spacer bez celu. Film, w którym nic się nie dzieje, tzn. któremu na pozór brak uwadliwej akcji nadbrzmiewa masą spostrzeżeń i uszczuplonych komentarzy do obyczajów ludzkich. Jest to pierwsze wielkie źródło jego komizmu. Ruchy i gesty pozbawione celu, spacer dla spacerów, posiłkiienne nie będące intermedium dnia pra-

cy, ale przeciwnie, stanowiące zasadnicze punkty dnia wypoczynku, rozrywki towarzyskiej nie jako margines, ale najważniejszą treść życia — to wszystko zobaczone okiem satyryka, i to satyryka tak genialnego (nie boję się tego słowa) jak aktor i reżyser Jacques Tati, staje się źródłem niewyczerpanej uciechy. Działania ludzi na tym filmie przypominają ruchy ryb w akwarium, które ciągle poruszają pętlami, ale nie płyną do nikąd. Śmieszność zaś dlatego, że są to nasze codzienne ruchy i działania, tylko odrobinkę powiększone i pozbawione sensu, celowości.

I teraz na tym tle pojawia się pan Hulot. Kim jest ów bohater, czym się wyróżnia? Niczym, lub może właśnie tym, że nie chce się wyróżniać. Przyjeżdża na wakacje jak wszyscy inni, przyjeżdża własnym samochodem, jak wielu. Jest ułkany, zachowuje wszystkie przepisy obowiązujące człowieka na wakacjach; jest grzeczny wobec pań, bierze udział w grach towarzyskich, chodzi na spacer, zamawia konia na przejażdżkę, przychodzi na posiłki i usiłuje uczestniczyć w konwersacjach, siada przy adapterze, by posłuchać muzyki. Pan Hulot jest jednak czymś w rodzaju momentu krytycznego wakacyjnego trybu życia. Ruchy, gesty i czynności, podobne do tych, które wykonują wszyscy dookoła, u niego są odrobinkę intensywniejsze, jakby bardziej nasycone i dlatego właśnie granica nieszkodliwego nonsensu obyczajowego, jakim są wakacje widziane oczyma Tati, pękła, zalamuje się z traskiem. Przeciwnie panu Tati buntuje się zarówn o otoczenie jak i przedmioty martwe. Jego samochód, rozklekotany i nieporządkowany staje się parodią limuzyny mieszczańskiej; obcuje towarzyskie, niby to poprawne, skają się w jego wykonaniu przedziwnym baletem beznacownych zabiegów; sportowe rozrywki, takie same, jakie uprawiają wszyscy, popychają pana Hulota do coraz to nowych, niesamowitych konfliktów z matką, ze światem rzeczy martwych. Bohater filmu, będąc ucieleśnieniem wszystkich manier, jakie tkwią w otaczających go ludziach, jakie tkwią rozproszone w nas wszystkich, staje się nagle obelgą, rzucano tym manierom. W filmie niby to nic się nie dzieje, nie ma akcji. Jest to jednak pozór. W istocie akcją filmu jest postępująca krok za krokiem kompromitacja naszych drobnych, najdrobniejszych przyzwyczajonych wakacyjnych. Kompromitacja pana Hulota. Od bohatera odwracają się wszyscy, nienawidzą go i pogardzają nim dlatego, że

widzą w nim, choćby podświadomie, krzywe zwierciadło odbijające zachowanie otoczenia. Lub też tak są zadufani w swoich obyczajach, że tego właśnie nie widzą. Jeden tylko kelner, postać nie wypowiedziana ani jednego słowa, wodźca Hulota, zachowujący się z wyjątkiem, wydaje się, że człowiek związany swoją egzystencją zawodową z instytucją wakacji coś zaczyna rozumieć. A może właśnie nie rozumie i stąd jego zdumienie wobec Hulota?

Film jest szalenie dowcipny, nabrzmiały tym cienkim, intelektualnym humorem satyrycznym, którego można albo nie zrozumieć w ogóle, albo niesposób zapomnieć. Kiedy oglądałem go w kinie „Pra-

* * *

Świetność formalna komedii Tati jest siłą uderzającą. Doskonałości aktorstwa ludzkiego dorównuje aktorstwo rekwizytu. Wszystkie co zostało pokazane, powiedziane, co dało się usłyszeć, jest poparte logiczną potrzebą, ważne, znaczące.

Tati jest mistrzem ekonomii filmowej: ani jeden metr taśmy nie idzie na marne. Jest ponadto mistrzem organizowania filmowego czasu. Rytm przebiegu zdarzeń jest świadomie stosowanym, nader subtelnym środkiem wyrazowym, co pozwala „Wakacje” przyrównać do kompozycji poetyckiej czy muzycznej. Akcja filmu, podobnie jak w utworze muzycznym, ulega nieprzypadkowym różnicom tempa, doznaje zwolnień, przyspieszeń, jej poszczególne wątki treściowe wchodzą niejako we wzajemny rytmiczny kontrpunkt.

Nerwowa, predka akcja Hulota przeciwstawia się powolnemu, ucyzonomu jak gąbry wątkowi Martine, nad refleksyjnie monotonna, po trosze dziejąca się na stronie sprawy kelnerskiej raz po raz halasiwie i nieoczekiwane jak synkopu wybuchu zawierowanego biznesman Schmutz. Tempu filmowych rytmów odpowiadają nastroje tonacji. Beznadziejne w swej śmiesznej lryce moll mieszczańskiego małżeństwa kontrastuje z durowym jak pobudka motywem emerytowanego majora.

A sam Hulot? Dziwny, nierealny dysonans, obcy, drażniący pośród ludzi rozeznanych, wiadomych do końca i bez żadnych wątpliwości.

W systematyce humoru zajmuje Hulot pozycję skrajną. Jest czymś więcej niż komikiem: bywa białym. A więc postacią w pełni umowną, wystylizowaną, obcą praktyce życiowej.

Ktoś starał się porównać Hulota do Chaplina: nie bardziej błędne. Chaplin jest postacią realistyczną, uprząż, w swej psychologii i filozofii jest syntezą spraw typowych. Hulota nie da się odczytać na drodze dedukcji bo nie reprezentuje niczego, bo nie może trwać samoistnie. Nieprawdopodobieństwo jest poniekąd a priori zasadą jego bytu.

Hulot jest nierzeczywisty. Ale nie jest nierealny. Wiarogodność społeczna i skala możliwości psychologicznych Hulota ulega redukcji tak znacznej, że nie potrafimy się stać bohaterem perypetii fabularnej, nie umiabyśmy świadczyć o życiu w drodze dociekań dramatycznych czy epickich. Jest postacią antydratamuryczną. Ale jego błażowska egzystencja stwarza nieoczekiwanie możliwości do eksperymentów zaskakujących. daje prawo do szczególnej penetracji w otoczenie. Bawiem wobec fenomenu błażwa

„Tagebuch”, którego redaktorem jest znany austriacki działacz ruchu politycznego Ernst Fischer. „Tagebuch” pisze m. in. o nowej książce Remarque’a: „Jest to atmosferyczna i bardzo satyryczna, a jednocześnie-niemieckiej literatury wojennej dobry, stary Remarque napisał książkę przeciw Niemcom Hitlera — to musimy mu być za to wdzięczni...” (a)

„LUDZIE BEZDOMNI” ZEROMSKIEGO ukazują się niebawem w nowym przekładzie w wydawnictwie Aufbau-Verlag w Berlinie. To samo wydawnictwo wydało niedawno „Lalkę” Prusa i wobec wyczerpania „Faraona” zapowiada obecnie wznowienie w powiększonym nakładzie. W wydawnictwie Philip Reclam jun. w Lipsku wyszedł wybór wierszy Adama Mickiewicza. (a)

ZBIÓR LISTÓW ROMAIN ROLLANDA do matki (z lat 1899—1919) został wydany przez firmę Albin Michel w Paryżu, w dziesiątą rocznicę śmierci p.sarza. Ukazał się on pod tytułem „Wiosna rzyńska” i zawiera korespondencję z Włoch, na której składają się wiele świętych charakterystyk poznanych osób i ciekawe refleksje na temat sztuki. Romain Rolland pisywał do matki codziennie. (j)

WIECZORY LITERACKIE, to znana lecz wciąż nowa forma propagandy literatury pięknej. W Moskwie powstał niedawno komitet artystyczny, mający na celu organizację tych wieczorów na wielką skalę. Na czele komitetu stanął znany aktor radziecki I. Iljinski. W pierwszym wieczorze literackim zorganizowanym przez ten komitet, recytowane były utwory poetyckie W. Majakowskiego. A. Błoka, S. Jesienina, K. Simonowa, S. Szczepacowa oraz w wykonaniu G. Sorokina kompozycja według powieści „Dwanaście krzeseł” Ilfa i Pietrowa. Do programu najbliższych koncertów wchodzi kompozycja z dzieła Gorkiego „Życia Klimy Samgina” oraz w opracowaniu Bałazowa „Hamlet”. Szekspira i wiele innych utworów rosyjskiej, radzieckiej i obcej literatury pięknej. Komitet Organizacyjny przedkładał kroki, aby wieczory takie były organizowane również w innych krajach przymiślowych na Uralu. Donbasie. Kuzbasie i na nowozagospodarowanych ziemiach. (t)

SEZON TEATRALNY W MOSKWIE przeszedł w ubiegłym roku pod znakiem walki z bezkonfliktowością w dramaturgii. Takie przedstawienia jak: „Lata tulaczki” Arbuzowa w Teatrze im. Lenińskiego, „Kosmopol” w reżyserii Hiacyntowej i Solowiowa, jak „Zurbinowie” w teatrze im. Majakowskiego (adaptacja znanej powieści Kocetowa „Zurbinowie”, która wiele na tym zyskała) oraz „Wiosenne wody” J. Czepurina w teatrze Armii Czerwonej oto nowe i ciekawe wydarzenia życia teatralnego. Znany krytyk teatralny A. Anastasjew widzi zwłaszcza w „Latach tulaczki” kontynuację na scenie radzieckiej dramatu psychologicznego. Ze wznowieniem szczególnie wyróżnienie zasługuje wystawienie „Łaźni” W. Majakowskiego w teatrze Satyry, które cieszy się ogromnym powodzeniem u publiczności. Teatr Satyry przygotowuje już następną sztukę Majakowskiego „Pluskwa” (reżyseria W. Pluczek i S. Jutkiewicz). (t)

Teatr im. Majakowskiego (reż. Ochłopkowa) wysłał również sztukę Arbuzowa „Domek na przedmieściu”, a wkrótce ma wystawić od dawna zapowiadane — „Hamleta”. (t)

UTWORZY 65 AUTORÓW POLSKICH wyszły w ZSRR w latach 1918—1934 w łącznym nakładzie 9 530 egzemplarzy w dwudziestu pięciu językach. Największą popularnością cieszą się utwory Henryka Sienkiewicza, które wydano w tym czasie 65 razy. Nadmienię, że wydawnictwa radzieckie wydają książki i w języku polskim. Ostatnio wyszedł w Moskwie tom nowel St. Zeromskiego. Tom ten zawiera opowiadanie „Rozdźwięk na króliki, wróć!” (t)

NAGRODĘ NOBLA W DZIEDZINIE CHEMII otrzymał chemik amerykański Linus Pauling. Pauling jest wiceprzewodniczącym „Światowego Stowarzyszenia Pracowników Nauki”. Jak podaje prasę niemiecką władze amerykańskie odmówiły Paulingowi wydania paszportu ze względu na jego postępowe przekonania. Drugą nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki otrzymał Max Born, Jönköping. Korespondent Akademii Nauk ZSRR, jeden z twórców współczesnej teorii atomów. Born jest Niemcem, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych po przewrocie hitlerowskim. Uważa się za socjali-

stę i wypowiada się za ruchem obronności pokoju. (a)

TEATR WE FRANKFURCIE NAD ODRĄ gra obecnie sztukę dramatyczną holenderskiego Maurycy Dekkera. Sztuka nosi tytuł „Świat nie ma pocekalki”. Jak pisze prasa berlińska, Dekker zajmował się przede wszystkim odczynami widza „kategoriami” problemu współczesności. Dekker mówi mianowicie: „Spieszcie się, nie ma czasu. Trzeba się zdecydować: Świat nie ma pocekalki”. Akcja sztuki Dekkera toczy się w jednym z laboratoriów atomowych Stanów Zjednoczonych, gdzie pod naukowym konceptem zbrojenia wojennego zatrudniono niewykwalfikowanych pracowników. Bohaterowi sztuki udaje się w ostatniej chwili zapobiec eksplozji, która mogła zniszczyć całe miasto. „Dekker — pisze jeden z recenzentów — stawia przed widzami zasadnicze pytania, jakie stoją przed całą ludzkością wobec niebezpieczeństwa wojny atomowej... Pokazuje konflikt między sumieniem człowieka, a jego przynależnością do państwa, konflikt między miłością a obowiązkiem.” Prasa codzienna NRD i czasopisma kulturalne — literackie podkreślają zgodność, że „Świat nie ma pocekalki” Dekkera to najbardziej współczesny, najbardziej aktualny dramat o wielkich wartościach humanistycznych. (a)

REMARQUE’A OSTATNIA KSIĄŻKA pt. „Czas życia i śmierci” w dalszym ciągu nie schodzi ze szpalt czasopism zagranicznych. Berlńska „Aufbau” porównuje ostatnio duński wydanie tej książki z wydaniem zachodnio-niemieckim. Zmiany w tekście dokonane przez cenzurę Adenauera, jak wynika z zestawienia „Aufbau” dotyczą przede wszystkim stron, na których Remarque demaskuje bestialstwo Wehrmachtu i SS i tak np. oficer SS wydaje w tekście duńskim rozkaz: „niech przyniosą warstwę drewna, położyć na niej i pozwolić się zastrzelić, a potem drugą partia niech położy warstwę drewna na tamtych i da się zastrzelić.”

Ten rozkaz w wydaniu zachodnio-niemieckim zawiera wypowiedzianą przez tegoż oficera SS uwagę, że dzieło się to w celu... uniknięcia epidemii... „Snra... Czasu życia i śmierci” zalał się ostatnio również tygodnik wiedeński

ha” zarykiwały się ze śmiechu dzieci, które najłatwiej chwytają abstrakcyjny dowcip sytuacyjny, oraz nieletni dorośli, którzy rozumie głębokie dno filmu. Reszta publiczności śmiała się, ale po wyjściu z kina słyszało się pretensje: że właściwie głupie. że co to wszystko znaczy, że tak naprawdę, to nie było wcale śmiesznie. Nie było? Było akurat tak samo śmiesznie, jak śmieszny jesteśmy my wszyscy, gdy potrafimy patrzeć na siebie trochę z dystansu i trochę ze zmużeniem oka. Zobaczyliśmy swoje odruchy i maniery, zaśmialiśmy się i zrobiło się nam trochę smutno. Ale tylko trochę. Z satyryczną powściągliwością do siebie.

Krzysztof T. Toeplitz

Kącik gaffologa

„Dalszy ciąg nastąpi”



Rys. Lech Zahorski

Ku wielkiej ucieście widzów kinowych zakupiono u nas ostatnio kilka wartościowych filmów produkowanych w krajach kapitalistycznych. Dobór tych filmów wydaje się zwiastować przebudzenie się poczucia smaku artystycznego u naszych dystrybutorów filmowych i gotowi byliśmy spieszyć z wyrazami uznania, gdyby nie fakt, że od czasu do czasu dystrybutorzy ci, przez roztargnienie zapewne, mylą towary którymś handlują — z kielbasą krakowską. Nie inaczej. W wypadku bowiem wyż. wymienionej kielbasy jest w zasadzie obojętne, czy kupujemy 10 kg z początku, środka czy końca długiego peta. W filmie, mimo ludzkiego podobieństwa celulooidowej taśmy do kielbasianego wianka, jest inaczej.

Kupiliśmy np. film reż. Clouzota „Cena strachu”, dzieło bardzo ciekawe, którego dramaturgia oparta jest na zasadzie nieustannie narastającego napięcia, tak że widz przychodzący do kina z uśmiechem na ustach wychodzi zlanym zimnym potem. Clouzot po mistrzowsku stopniuje napięcie i skoro zdecydowali się — słusznie — zakupić tego film, to nie po to przecież, aby zniwieczyć efekt dramatyczny tego dzieła. Clouzot popełnił jednak pewien nietakt: zrobił film dłuższy niż 2 godziny, film, który się „nie mieści” w ramach jednego seansu. Dla dystrybutorów z CWF nie stanowi to jednak problemu: po prostu przecięli film na dwie części, właśnie tak samo, jak kielbasę. Korzyść z tego ogromna. Widz dwa razy zapłaci za bilet, w sprawozdaniach zapisze się nie jeden, ale dwa filmy. Tylko, że z „Ceny strachu”, z jej rosnącego napięcia nie nie zostanie. W połowie filmu lekko podekscytowanemu widzowi powie się — „dalszy ciąg nastąpi” i za tydzień również lekko go się tylko podrażni i pod nieoczekiwanym wrażeniem puści do domu. I po co się męczył Clouzot nad koncepcją narastającego dramatyzmu, skoro można ją zniszczyć jednym ciecikiem rzeźnickiego noża — przemasz — nożyczek?

Sprawa jest jeszcze do uratowania — film nie wszedł jeszcze na ekrany. Uratować go warto.

ktt

Krytyka nie pomogła — niech pomoże samokrytyka

Jak wiadomo, szeroko przyjął się u nas system stosowania samokrytyki jako czynności zastępczej. Ściśle — zastępującej rzetelną robotę nad poprawą stanu faktycznego. Powodzenie i rozpowszechnienie tego systemu doprowadziło do dalszego uproszczenia technologii. Można nawet bez samokrytyki. Po prostu — posłuchać zarzutów, pokłonić głową. I już.

Parę miesięcy minęło od opublikowania w „Nowej Kulturze” kolumny „Pisarze a film”. Tyleż czasu przeszło od narady filmowej

SPATiF. Po raz nie wiadomo który szeroko i gruntownie udowodnione zostało kluczowe znaczenie scenariusza dla ilości oraz jakości produkcji filmowej. Przypomniano, jak ważną jest rzeczą, by pisarze... itd. Jednocześnie stwierdzono, że CUK oraz pokrewne instytucje nie stworzyły organizacyjnych, koncepcyjnych i materialnych warunków i bodźców dla związania odpowiedniej ilości odpowiednio uzdolnionych pisarzy z produkcją filmową oraz dla zaszczepienia scenarzystom współgospodarskiego poczucia odpowiedzialności przed widzem. W związku z tym trzeba zapytać:

— DLACZEGO scenarzysta wciąż jeszcze jest JEDYNYM z autorów filmu, który nie otrzymuje premii, jeśli film się uda?

— DLACZEGO Zarząd Główny Związku Literatów Polskich dotąd nie może się zdecydować, czy przeformować megalomanię Sekcji Dramatu ze scenarzystami, czy wręcz stworzyć Sekcję Scenariusza, a w każdym razie nadać sprawie bieg praktyczny?

— DLACZEGO nawet Filmowa Agencja Wydawnicza bierze udział w literackiej dyskryminacji scenariusza i płaci autorom najwyższej tyle, ile ustawa o stawkach autor-skich przewiduje za najślabszy rodzaj prozy?

— DLACZEGO autor scenariusza nie wchodzi w skład kierownictwa ekipy zdjęciowej?

— DLACZEGO w przedyskutowanym już i zatwierdzonym scenariuszu mogą być dokonywane zmiany (nawet konieczne) bez zgody i udziału w nich scenarzysty?

— DLACZEGO scenarzysta nie jest obecny na zebraniach ciał decydujących o ocenie filmu?



Rys. Lech Zahorski

— DLACZEGO cechy skompromitowane w teatrze i literaturze — jak schematyzm i usztywnienie — uchodzą za pożądane w praktyce filmowej i są w dalszym ciągu wprowadzane do nakręconych już filmów?

— DLACZEGO sprawy, konflikty i charaktery mające prawo obywatelstwa na scenie i w powieściach, wciąż jeszcze są uznawane za drażliwe i niepożądane na ekranie?

— DLACZEGO nie wprowadzają się w życie decyzji walnego Zjazdu ZLP w sprawie czasopisma poświęconego dramaturgii filmowej i teatralnej, co pozwoliłoby na wyrównanie scenariusza z literackiego podziemia, na przełamanie oportunistycznego repertuaru, na poddanie scenariuszy i dramatów publicznej, demokratycznej krytyce, na ukroścenie samowoli poprawiaczy i na zwiększenie odpowiedzialności pisarzy za ideowo artystyczny poziom ich pracy?

Dalsze 100 000 DLACZEGO — w zanadru. jp

W sprawie flirtu

Na Zjeździe Filmowym Spatifu wracała raz po raz sprawa małżeństwa. Małżeństwo realizatora, ze scenarzystą. Dzieci zdrowe, piękne, wesole, takie jakie rodzą się zazwyczaj z dobranej pary — oto filmy, których trzeba realizować coraz więcej.

Swatem wyżej wspomnianego małżeństwa jest CUK. Jest, a raczej być powinien. Niektóre bowiem jego ognia robią wszystko co możliwe, ażeby do małżeństwa realizatora i scenarzysty nie dopuścić.

Jak wiadomo związek dwojga młodych zaczyna się zazwyczaj od przypadkowego spotkania, flirtu.

Flirt mógłby nawiązać się m. in. przykład na pokazach organizowanych przez instytucję upoważnioną i powołaną m. in. do kojarzenia małżeństwa.

Nie, do tego CUK nie dopuścił. Żeby rozdzielić przyszłe pary, wyeliminować pokusę jakiegos flirtu — zręczowano się zorganizować oddzielne pokazy dla scenarzystów i oddzielne dla realizatorów.

Żeby się nie spotykali. Bo kto wie? Może coś by z tego wynikało. Rozmowa, związana z oglądaniem filmu, uwagi — także krytyczne, skłócenia — czasem niespodziewane — mogłyby doprowadzić do wspólnej myśli, zbliżenia, może nawet następnego spotkania. Jednego, drugiego. A po tym? Po tym, może nawet i dziecko. Kto wie?

A urzędnikowi żal i lubi, żeby porządek był. Tu maluchy, tam starszaki. Wszystko ułożone. Po pokazuje — żadnych dyskusji. Rozjeżdż się!

ws

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 12. Telefony: Sekretariat 8 86-11, 8 24-11. — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 53-30. Wydaje RSW „Prasa”. Kolportaż PPK „Ruch”, Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Prenumeratę przyjmują: wszystkie kioski PPK „Ruch”, z wyjątkiem kiosków dworcowych — w terminie od 1 do 25 każdego miesiąca, cena prenumeraty wynosi w styczniu 6 zł, lutym 4,80 zł, marcu 4,80 zł, kwietniu 4,80 zł, maju 6 zł, czerwcu 4,80 zł — oraz wszystkie urzędy pocztowe i listonosze w terminie do 10 każdego miesiąca i miesiąc następny, warunki prenumeraty pocztowej: miesięcznie 4,60 zł, kwart. 13,80 zł, półrocz. 27,60 zł, rocznie 55,20 zł. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Poznańska 38, konto PKO 1-111 5689, tel. 23-09. Rękop. niezamów. redakcja nie zwraca.